The background of the cover is a detailed illustration of a Roman city. In the foreground, a man with dark hair, wearing a white toga with a red sash, looks off to the side with a serious expression. He has a gold ring on his finger. Behind him, the city is filled with classical architecture, including a large temple with a pediment and columns. To the right, there is a bronze statue of a figure holding a staff. In the lower right corner, a scene of a battle or public event is visible, with soldiers in helmets and a crowd of people.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI

TOM 1

GASNAĆE SŁOŃCE

DARMOWY FRAGMENT

MAGNA
POLSKA

Teodor Jeske-Choiński

GASNĄCE SŁOŃCE

TOM 1

Wydawnictwo Magna Polonia
Mysłowice 2023

CZĘŚĆ I

I.

Przed domem Publiusza Kwintyliusza Warusa było rojno i gwarno, chociaż późne słońce października wychylało się dopiero spoza gór albańskich.

Kilkudziesięciu mężów, w białych togach i lekkich sandałach, przechadzało się wzdłuż wysokiego muru, z którego zwieszały się wieńce, splecione z bluszczu i czerwonej latorośli winnej.

Jeden z nich, wysoki, barczysty brunet, zbliżył się do bramy i, uderzywszy w nią młotkiem trzy razy, zawołał:

– Hej tam, odźwierny, otwieraj! To my, twojego pana klienci¹.

Za murem odezwał się tylko pies, szczekający zajadle.

– Psy nas wszędzie witają – mruknął klient i odszedł na środek ulicy, gdzie kilku innych obywateli rzymskich słuchało opowiadania małego, suchego jegomościa, rozprawiającego o czymś z wielkim ożywieniem.

Drobny człowieczek krzychał głosem piskliwym, pomagając sobie ruchami rąk, nóg i łysej głowy.

– I co nam po zwycięstwie nad Partami! – dowodził. – Potłukli ich na miazgę, spalili im miasta, zrabowali świątynie i pałace, nabrali niewolnika, a nam nie dostało się z tego wszystkiego ani jednego sesterca. Dowódcy obłowili się, jak zwykle, na żołdactwo posypał się deszcz nagród, a obywatelom rzymskim zostawiono tylko zaszczyt patrzenia na wjazd tryumfalny legionów.

– Trzeba ci było pójść na wojnę – zauważył wysoki brunet.

Mały rzucił się do niego i wrzasnął:

– Bohater! Zdawałoby się, że spędził młodość w obozie, a wiemy wszyscy, że nie odczepił się ani na jeden dzień od kłamki pańskiej. Na wojnę?! A to na co? Tłuc kości po kniejach i puszczech, brać po grzbiecie trzcina setnika, dźwigać na plecach całą górę rupieci, narażać się na kalectwo, na śmierć? Nie na to podbili nasi przodkowie

¹ Klient. Ubogi, lecz wolny obywatel Rzymu, często wyzwoleniec. Pozostawał on pod opieką patrycjusza, któremu, w zamian za pomoc materialną był posłuszny. przyp. wydawca

świat, byśmy marli z niewygód w lasach Germanii lub na skwarnych wybrzeżach Afryki i Azji.

– Lucjusz mówi sprawiedliwie – potwierdzono zewsząd.

– Lucjusz ma słuszność!

Zachęcony w ten sposób Lucjusz, perorował dalej:

– Od czego te psy germańskie, hiszpańskie, egipskie i wszelkie inne ludy barbarzyńskie?! Niech się za nas biją, niech tracą nogi, ręce, uszy i co tylko zechcą! Obywatel rzymski powinien używać. To jego przywilej, nagroda za waleczność przodków.

– Twoi to chyba nie ramieniem, lecz głęą wojowali – wtrącił wysoki brunet.

– Kajus robi się dowcipnym – odezwał się ktoś z boku.

– A twoi udawali zapewne w amfiteatrze byków – odciął się Lucjusz.

Cała gromada wybuchnęła śmiechem.

– Byki mają rogi! – mruknął Kajus.

– I lubią siano! – dodał Lucjusz.

A urwawszy pod murem garść zielska, podawał ją Kajowi wśród ogólnego wesela.

Ten, chwytając ustami trawę, trącił dowcipnisia głową z taką siłą, że go przewrócił.

– Zbój! Poczekaj, niech się tylko podniosę! – wrzeszczał Lucjusz, gramoląc się z ziemi.

Nie spełnił jednak groźby, kiedy stanął znów na nogach. Rzuciwszy Kajowi kilka słów obelżywych, pobiegł do bramy i zaczął w nią bębnić pięściami.

– Otwórz! – wołał.

Teraz za murem odezwał się głos donośny:

– Cicho tam! Przesławny trybun jeszcze śpi.

– Otwórz! Dostaniesz na wino – prosił Lucjusz.

– Wróbel nie upił by się za twoją hojność – odpowiedział stróż domu.

– Mam dla ciebie całego sesterca.

– Kup sobie za niego śniadanie, boś głodniejszy ode mnie.

– Nie bądź taki hardy, niewolniku!

– Nie krzycz tak, wolny żebraku, bo poczekaś jeszcze dłużej.

Lucjusz splunął i wrócił do towarzyszków.

– Podłe rzemiosło, ta klientela – mruknął. – Ceruj i czyść dziurawą togę przez cały wieczór, zrywaj się do dnia z barłogu, wystawaj na wietrze i chłodzie pod drzwiami, potem kłaniaj się przez cały dzień panu senatorowi i czekaj cierpliwie, aż ci potężny dobrodziej raczy rzucić jaki ochłap. Nie ma tam który z was kropli jakiego trunku? Ohydnie zimne bywają już poranki.

A kiedy się nikt nie odezwał, zawiął się w togę i zaczął chuchać w skostniałe ręce.

– Psi czas – syknął.

– W istocie, podłe to nasze rzemiosło – wyrzekł Kajus. – Mam go już dosyć.

– A co będziesz robił? – zawołał Lucjusz. – Minęły dobre czasy pierwszych cesarzy. Niech ich bogowie wynagrodzą na Olimpie za szczęście ubogich! Sypali zboże, podarunki i złoto na plebejów, ubiegali się o nasze względy, pieścili nas, a teraz co? Nawet denuncjatorem, oprawcą, szpiegiem być nie można, bo...

– Stuliłbyś gębę – przerwał mu gwałtownie Kajus – tęskno ci za proskrypcjami i za krwawym strachem Kaligulów, Neronów i Domicjanów? Patrzcie go, jaki obywatel rzymski, potomek legionistów! Gotów jeszcze szczekać na boskiego Marka Aureliusza za jego dobroć i sprawiedliwość.

– A mnie co z tej dobroci i sprawiedliwości boskiego imperatora? Że Kaligula, Neron i Domicjan przeredzili trochę pysznych bogaczy, że upuścili dużo krwi patrycjuszom i rycerzom, to cóż stąd? Dla nas, dla ubogich, znaleźli oni zawsze chleb, igrzyska i uśmiech życzliwy. A teraz co? Od trzech dni nie miałem nic ciepłego w gębie, a pies się nawet o to nie zapyta, czym głodny. Imperator filozofuje, jego doradcy filozofują, baby nawet filozofują. Jak mi się ta bieda sprzykrzy, to zostanę filozofem.

Ostatnie słowa Lucjusza wywołały śmiech powszechny.

– Lucjusz filozofem! – odezwał się jakiś grubas, trzymając się za brzuch, który falował pod togą.

– A dlaczego by nie! – mówił Lucjusz. – Niby to taka wielka sztuka nie czesać włosów, zapuścić brodę, ubrać się w stary, wytarty, dziurawy płaszcz, ruszać się wolno, z powagą i wygadywać niestworzone rzeczy o cnocie i o bogach. Dziur nie braknie mi i bez tego w todze, a gębę mam w porządku, jak słyszcicie.

Ulica, dotąd pusta, zaczęła się ożywiać.

Gromadami przeciągali klienci innych panów, wszyscy w białych, znoszonych mocno togach. Szli, ziewając, wlokąc za sobą leniwe nogi, ubrane w połatane sandały.

– Życzę obfitego śniadania! – krzyczał Lucjusz do każdej, nowej grupy.

– I wam, i wam! – odpowiadano.

Spieszyły do szkoły dzieci płci obojga z woskowanymi tabliczkami w rękę, przebiegali piekarze, niosący na głowie kosze z bułkami.

– Świeże pieczywo, świeże pieczywo, pulchne, wonne i smaczne! – wołał jakiś wyrostek – kupujcie, kwiry, kupujcie!

– Pokaż-no – odezwał się jeden z klientów.

– To dla was – zaśmiał się chłopiec, wyciągając język.

I pokłusował dalej.

– Nawet niewolnicy nas nie szanują – mruknął Kajus.

Wtem rozwarła się brama i na progu jej ukazał się olbrzymi niewolnik germański, ubrany w czerwoną tunikę. W prawej ręce trzymał dużą trzcinę.

– Przesławny pan mój wzywa swoich klientów do siebie – zawołał koślawą łąciną.

Z gwałtownością zatamowanego potoku, gdy otworzą nagle śluzy, rzucił się tłum obywateli rzymskich do wejścia. Jeden biegł przez drugiego; każdy chciał być pierwszy.

– Wolno, ostrożnie – napominał niewolnik podnosząc trzcinę do góry.

Widok grubej laski przywrócił tłoczących do porządku.

– Mój pan nie lubi wrzawy – dodał jeszcze odzwierny.

Klienci, przekroczywszy próg bramy, znaleźli się na dużym placu, na którym wznosił się stary dom parterowy. Z tyłu zielenił się park, przylegający do obszernego pagórka, pokrytego ogrodami.

Dworzec Publiusza Kwintyliusza Warusa nie świecił ścianami marmurowymi. Przed głównymi drzwiami nie biły wodotryski i nie było kolumn z kamienia frygijskiego. Dwa olbrzymie lotusy okryły prawie cały dach rozłożystymi konarami.

Nie ręka greckiego mistrza, lecz pleśń wieków pomalowała ten dom, zbudowany z dużych cegieł. Wiała od niego cisza powagi.

Klienci, minawszy przedsionek, zatrzymali się w obszernej sali, do której wpadał z góry przez kwadratowy otwór słup światła, rozlewającego się po mozaikowej posadzce pyłem błyszczącym.

Z obu stron wejścia znajdowały się szafy, z których wyglądały poczerniałe, woskowe biusty przodków rodu Kwintyliów. Tuż przy ocembrowanym zagłębieniu w środku sali, do którego ściekała w dni deszczowe woda z dachu, wznosił się ołtarz, a na nim tliło święte ognisko domowe. Pod ścianą, naprzeciw drzwi wchodowych stał tron, ozdobiony płaskorzeźbami, przedstawiającymi bitwy i pochody triumfalne.

– Czy widzisz? – odezwał się Lucjusz głosem stłumionym, zwracając uwagę jednego z klientów na ognisko.

– Jakiś zwolennik starego obyczaju – odpowiedział zapytany. – Może każe nam się modlić.

– Żeby tylko o naszych żołądkach pamiętał – mruknął Lucjusz.

– Kwintyliowie nie byli nigdy skąpcami – wtrącił Kajus.

– Ale siedzieli rzadko w domu.

Zamilkli, bo w tej chwili ukazał się w sali wysoki, smukły niewolnik, czarnooki i czarnowłosa Grek, ubrany tak samo, jak odźwierny, w czerwoną tunikę, i stanął obok wschodów, prowadzących do innego pokoju, oddzielonego od sali kotarą z ciężkiej materii. Niósł on w jednej ręce biały welon, w drugiej srebrną tacę, a na niej małą amforę z winem i kilka naczyń z chlebem, owocami i kadzidłem.

– On gotów nas powitać naprawdę zwyczajem praojców – mruknął Lucjusz.

A zwróciwszy się do niewolnika, zapytał:

– Czy nie uważałeś, którą nogą wyszedł dziś twój pan z łóżka? Greczyn przyłożył palec do ust.

W przyległym pokoju rozległy się szybkie kroki. Klienci powstrzymali oddech... Jakaś ręka energiczna odrzuciła kotarę ruchem nerwowym i na jej ciemnym tle zarysowała się postać młodego mężczyzny.

Równocześnie zaszumiał w sali okrzyk, wybuchający z kilkudziesięciu piersi:

– Bądź pozdrowiony w Rzymie, patronie nasz i królu!

Gdy wrzawa umilkła, odezwał się „król i patron“ głosem szorstkim, który brzmiał jak komenda wojskowa:

– Bądźcie pozdrowieni, przyjaciele mojego rodu!

Wziął z rąk niewolnika greckiego biały welon, zarzucił na głowę i szedłszy po stopniach wschodów, zbliżył się do ołtarza. Tu pochylił się nad ogniskiem i mówił, ręce przed sobą wyciągnąwszy:

– Spraw, o święte ognisko, abyśmy zawsze byli szczęśliwi. Ty, które jesteś nieśmiertelne, wiecznie piękne, młode i bogate, ty, które żywisz i ogrzewasz, przyjmij chętnym sercem nasze ofiary i daj nam za to szczęście i zdrowie!

Wygłosiliwszy tradycyjną modlitwę rzymskich naczelników rodu, wylał na ogień trochę wina i oliwy, rzucił na żarzące się węgle garść chleba, owoców i kadzidła.

Podczas tej ceremonii spoglądali klienci po sobie zdziwieni. W oczach ich zapalały się błyski szydercze i gasły natychmiast pod opuszczonymi powiekami. Lucjusz ukrył uśmiech pogardliwy w fałdach togi.

Kiedy Publiusz Kwintyliusz Warus oddał grekowi welon, wbiegło do sali czterech wyrostków, niosących długi stół, zastawiony śniadaniem. Chciwym spojrzeniem obrzucili klienci amfory i naczynia. Było tam tylko wino, chleb i owoce.

– Proszę, posilcie się – wyrzekł Publiusz Kwintyliusz, siadając na tronie.

Szczupły, średniego wzrostu, z okrągłą czaszką rzymskiego patrycjusza, nie liczył on więcej nad lat trzydzieści kilka. Szerokie czoło, orli nos i szczelnie zamknięte usta składały się na profil sępa. Duma i nieugięta wola była rysem znamienym tej twarzy suchej, wygolonej zupełnie. Wiał od niej chłód stanowczości, nie znającej miłosierdzia ani dla siebie, ani dla innych.

Kiedy tak spoczywał, oparty niedbale na poręczy krzesła, z wysuniętą pogardliwie dolną wargą, z oczami zmrużonymi, robił wrażenie siły, mimo wątłej budowy ciała.

Nie miał na sobie ani miękkich materii, ani drogich kamieni. Okrywała go toga z grubej wełny; jego kształtne nogi tkwiły w ciężkich butach wojskowych, a na lewej ręce błyszczał tylko pierścień rycerski. Jedyłą oznaką wysokiego stanowiska społecznego, jakie zajmował, był szeroki szlak purpurowy, zdobiący jego suknie.

– Proszę, posilcie się – powtórzył, gdy klienci, onieśmieleni jego powagą, zbliżali się wolno do stołu. – Obfitych śniadań i obiadów

u mnie nie znajdziecie, ale ojcowie nasi nie jadaliby więcej i lepiej, a mimo to pokonali wszystkie ludy barbarzyńskie.

A zwróciwszy się do greckiego niewolnika, dodał:

– Artemidorus, podaj mi chleb i wino.

Smukły Greczyn skoczył ze zreżnością wiewiórki i stanął przed panem, przechylając się z wdziękiem.

– Trzymaj się prosto i zdejm z twarzy uśmiech zalotnicy – mówił Publiusz Kwintyliusz, niosąc do ust skibkę białego pieczywa. – I wonie czuję od ciebie. Niech tego więcej nie będzie.

– Ty rozkazałeś, panie – mruknął niewolnik, zaczerwieniwszy się po same włosy.

Klienci, zachęceni przykładem patrona, otoczyli teraz stół, i sięgali chciwie po lampki, napelniane przez dwóch wyrostków. Szybko wypróżniły się amfory i znikła góra pokrajanego chleba. Lucjusz, upatrzwszy chwilę, kiedy oczy służby nie śledziły jego ruchów, schował garść oliwek za tunikę. To samo uczyniło kilku innych.

Śniadanie nie zajęło wiele czasu.

– Prastarym obyczajem rzymskim – odezwał się Publiusz Kwintyliusz, gdy niewolnicy wynieśli naczynia z resztkami pokarmów – chcę być dla was patronem w dawnym rozumieniu. I w senacie i w sądzie będę popierał wasze sprawy, gdy którego z was pretor lub edyl pozwie; troski wasze znajdą u mnie zawsze ucho chętne, a potrzeby rękę otwartą. Zbliżcie się i mówcie, co mogę dla was uczynić.

Powiódł po zgromadzonych wzrokiem chłodnym, który nie zachęcał do poufałości, i czekał.

Klienci milczeli przez pewien czas, spoglądając po sobie pytająco.

Pierwszy wysunął się Lucjusz i, przyłożywszy prawą rękę do piersi, zaczął:

– Sława tobie i cześć, patronie nasz, znakomity potomku znakomitych przodków, za łaskawe słowa, którymi raczyłeś zaszczyścić klientów wielkiego rodu Kwintyliów.

– Sława, sława! – wtórowała reszta głosem podnieconym.

– Całemu światu wiadomo – mówił dalej Lucjusz – że patron i klienci stanowili dawniej jakby jedną rodzinę, trzymając się zawsze razem, czy w boju czy na sądach albo zebraniach wyborczych. Patron zastawiał sobą klienta, klient zaś dawał gardło za patrona. Ale nadeszły

inne czasy, a z nimi nowe obyczaje – niech je Pluton pochłonie – a te nowe czasy i obyczaje zniszczyły podwalinę, na której wzrosła wielkość świętego Rzymu. Patron nie troszczy się już o klienta, klient zaś poniewiera się wśród motłochu, uboższy od niewolnika. Przyszły na Kwiryków chwile ciężkie. Zboża nie rozdawano już od roku ze składów rządowych; mieszkania, wełna i żywność podrożały, bieda zagłada na dobre do naszych zimnych kryjówek na poddaszach...

Lucjusz chciał jeszcze mówić, ale potok jego słów przerwał mu znak patrona. Publiusz Kwintyliusz podniósł rękę i wyrzekł:

– Mój rządca wypłaci każdemu z was po tysiąc sesterców i wydzieli wam wełny na togi.

Głośnym wybuchem radości dziękowali klienci patronowi za dar hojny.

– Sława tobie, panie nasz i królu! – wołali i tłocząc się do niego, obejmowali jego kolana.

Po ustach „pana i króla“ przemknął uśmiech lekceważący. Z błyskami pogardy w oczach spoglądał na kornie schylone głowy obywateli rzymskich.

Kiedy wrzawa ucichła, odezwał się:

– Czy nie ma między wami nikogo, coby chciał dawnym zwyczajem służyć swojemu patronowi wiernie i uczciwie? Potrzeba mi rządcy posiadłości miejskich, dozorczy domu i niewolników.

Wśród tłumu klientów panowało głucho milczenie. Spoglądali oni po sobie zaniepokojeni, radząc się nawzajem wzrokiem. Mały Lucjusz, przodujący dotąd gromadzie, stał się jeszcze mniejszym i wsunął się zręcznie za plecy wyższych towarzyszy.

Jeden tylko Kajus, choć go za tokę przytrzymywano, wystąpił naprzód, pokłonił się panu i wyrzekł:

– Gdybyś mnie zechciał zawierzyć, przesławny trybunie, miałbyś we mnie wdzięcznego klienta.

Życzliwie spojrział Publiusz Kwintyliusz na szeroką twarz Kaja, na której malowała się szczerłość.

Głos jego, dotąd szorstki, zniżył się o cały ton i brzmiał łagodnie:

– To ty, Kaju? – mówił. – Przypominasz ojca swojego, który uczył mnie dosiadać konia na Polu Marsowym. Chcesz u mnie służyć? Nie zapominaj, że jesteś wielkiego Rzymu obywatelem.

Na to odpowiedział Kajus:

– Nie hańbi ciebie, potomka królów albańskich, twarde służba pod złotymi orłami boskiego imperatora, nie zhańbi i mnie, potomka wyzwolenców twojego domu, praca dla dobra patrona. Służyć ci będę, jak ojcowie moi twoim.

– Będziemy przyjaciółmi, Kaju – wyrzekł Publiusz Kwintyliusz, a podniósłszy się z krzesła, rzucił klientom krótki rozkaz: – Będziecie mi jutro potrzebni przy lekcycie!

Pożegnał ich gestem ręki i znikł za kotarą. Za nim udali się Kajus i Artemidoros.

Zbici w kupkę, jak stado owiec, które wilk przestraszył, tłoczyli się w milczeniu klienci do drzwi i przebiegli szybko plac przed domem. Dopiero kiedy się znaleźli na ulicy, wybuchnął z nich potok słów bezładnych.

– Widziałeś!

– Słyszałeś!

– Patrycjusz z czasów Pysznego Tarkwiniusza!

– Z tronu przemawia!

– Składa ofiary bogom domowym!

– Śmieszny pyszałek!

– Żąda służby od wolnych obywateli! – wołali na przemiany, gestykulując żywo.

– Kiedy mu się zachciewa honorów patrycjatu – krzyczał Lucjusz – to niech za nie płaci. Ale trzeba się śpieszyć z wydojeniem jego głupoty, bo znajdą się rychło zazdrośni, co mu hojność obrzydzą. Ten byk z duszą niewolnika, ten ordynarny Kajus, nie będzie popierał naszej sprawy. O uczciwości to bydlę rozprawia, jak prokonsul, który okradł prowincję.

– Trzeba by mu kiedy skórę dobrze wygarbować – odezwał się niski klient z grubym karkiem i muskularnymi ramionami.

– Trzeba, trzeba – wtórowali inni – zasłużył na naukę.

– A teraz dokąd? – zapytał Lucjusz. – Może by nam się jeszcze udało pochwycić jaki tłusty kąsek, kiedy się dzień zaczął.

Pomyślał chwilę.

– Już wiem – zawołał, uśmiechnąwszy się do siebie. – Nie byliśmy jeszcze u tego wzbogaconego Egipcjanina, co odarłszy ze skóry

Germanów, pnie się do senatorów i płaci za pokłony i tytuły. Hukniemy mu dziś głośno „przesławny panie“, „królu i patronie“, a może syn wyzwolenca sięgnie do szkatuły i sypnie na nas gradem sesterców.

– Niech żyje Lucjusz! – zawołał niski klient z grubym karkiem – on zawsze coś mądrego wymyśli. Idziemy do Fabiusza!

– Do Fabiusza, do przesławnego pana w kapeluszu wyzwolenca, ha, ha, ha!...

Śmiejąc się, pociągnęła cała gromada w boczną ulicę.

Publiusz Kwintyliusz Warus, pożegnawszy się z klientami, wszedł do swej pracowni. I tu nie było śladów zbytku i wykwintu. Na mozaikowej posadzce znajdował się duży stół dębowy, spoczywający na grubej nodze, której podstawę tworzyły cztery łby niedźwiedzie, wyciosane z kamienia. Pod jedną ze ścian widać było dwie szafy, wypełnione księgami i zwojami pergaminów. Kilka krzesel z wygiętymi poręczami kończyło umeblowanie pokoju, którego całą ozdobę stanowiły biusty marmurowe, przedstawiające: Wergilego, Tacyta, Juwenalisa, Nerwę i Trajana.

Publiusz Kwintyliusz Warus, oddawszy tożę Arlemidorowi, spoczął na dużym fotelu bez żadnego wysłania i wskazał Kajowi ruchem ręki stołek.

Kiedy klient nie chciał korzystać z jego uprzejmości, wyrzekł:

– Usiądź! Przyjacielem mi będziesz, nie sługą.

Zwracając się do niewolnika greckiego, rozkazał:

– Zawołaj Zygfyryda!

Gdy zostali sami z Kajem, mówił głosem cichym, jakby zmęczonym:

– Zdawało mi się, że dobry przykład boskiego Marka Aureliusza oddziała korzystnie na próżniaczy tłum plebejów, że odwróci ich serca od podłej żebraniny, nie przynoszącej chluby godności obywatela rzymskiego; tymczasem nie dostrzegam po kilkuletniej niebytności w stolicy żadnej zmiany. Trajan, Antoniusz i Marek Aureliusz nie zdołali uszlachetnić motłochu, którego dziadowie oklaskiwali grozę wojen domowych, a ubóstwiali Nerona i Domicjana. Obywatele rzymscy...

Na ustach Publiusza Kwintyliusza rozlał się gorzki uśmiech, a blask jego bystrych oczu zgasł pod cieniami smutku. Głęboka boleść starła w tej chwili z jego twarzy wyraz dumy.

– Obywatele rzymscy! – powtórzył z cicha. – Znam ja ich dobrze, tych panów świata. Mieczem i krzyżem trzeba im w obozie przypominać obowiązki legionisty.

Na progu ukazał się stary niewolnik germański.

– Ty rozkazałeś, panie – odezwał się, przykładając rękę do piersi.

Wzrok Publiusza Kwintyliusza spoczął z przyjaźnią na wysokiej, atletycznie zbudowanej postaci barbarzyńcy, który trzymał się prosto, mimo lat siedemdziesięciu kilku.

– Niewola nie stała u kołyski twojej, Zygfyrdzie? – zapytał patrycjusz.

– Ty wiesz, panie. Prowadziłem hufce wolnych braci przeciw potężnej Romie. Na polu bitwy okuli mnie zwycięzcy rannego, bezbronnego w żelaza hańby...

W niebieskich, przygastych oczach Germanina zapaliły się błyski ponure.

– Jak widzę, nie zatarła w tobie dwudziestoletnia niewola pamięci lasów ojczystych – mówił Publiusz Kwintyliusz.

Niewolnik milczał.

– Nie przebaczyłeś nigdy zwycięzcom?...

– Nie zdradziłem ojca twojego i ciebie, panie; służyłem wam wiernie – odpowiedział Zygfyrd wymijająco.

– Wiem... dzieci lasów germańskich dochowują wiary i mają serca czyste. Za lat dwadzieścia poniewierki należy ci się nagroda. Uklęknij, wyzwolénce.

Niewolnik schwyił się za piersi obiema rękami, zachwiał się, potem runął do stop patrycjusza.

– Panie, panie! – wołał głosem, przerywanym łkaniami.

Płacz rwał się z niego kawałami, wprawiając całe ciało w drgania gwałtowne. Rozpacz długiego życia spływała razem z jego łzami gorącymi.

Głos Publiusza miał miękkie tony dobroci, gdy mówił:

– Zwyczajem przodków moich, którzy uświetniali dzień powrotu z wojny szczęśliwej uczynkiem miłosiernym, wracam ci wolność, stary sługo. Możesz sobą od tej chwili rozporządzać według upodobania, a jutro powiesz mi, czy zechcesz zostać ze mną, albo też wrócić do swoich czarnych lasów. Teraz śpiesz do żony i dzieci i uciesz ich dobrą nowiną.

Patrycjusz uderzył lekko palcami prawej ręki niewolnika w policzek i wyrzekł:

– Jesteś wolny! Masz odtąd prawo do mojej zyczliwej opieki i mojego nazwiska, kliencie. A ty – zwrócił się do Kaja – będziesz świadczył o tym, co postanowiłem, w urzędzie przestawnego cenzora, gdyby się bogom podobało zgasić światło mojego życia przed dopełnieniem prawnych formalności.

– Panie, panie – płakał ciągle starzec, złożywszy głowę na kolanach patrona.

– Idź już, idź – mówił Publiusz Kwintyliusz łagodnie. – Wysłużyłeś sobie wolność. Dziełem ona twojej uczciwości.

Kiedy się wyzwoleniec oddalił, oparł patrycjusz głowę na dłoni i milczał, pogrążony w zadumie.

– Nazywamy ich barbarzyńcami – odezwał się po jakimś czasie półgłosem, jakby do siebie – a gdyby nie pomoc ich ramion w legionach, nie biłby nam świat pokłonów. Całe nasze szczęście, że ludy barbarzyńskie nie poczuły jeszcze swojej siły.

W sali przyległej kichnął ktoś w tej chwili głośno.

Kajus zerwał się z krzesła; Publiusz Kwintyliusz zmarszczył brwi.

– Nie potrzeba, nie potrzeba – wołał głos dźwięczny i do pracowni wbiegł młody, przystojny brunet, ubrany tak samo, jak gospodarz, w strój senatorski. I jego tunikę i togę zdobił szeroki szlak purpurowy.

Nie czekając znaku pana, wysunął się Kajus; gość zaś pochwycił rękę Publiusza i ściskając je serdecznie, mówił szybko:

– Jesteś nareszcie, wilku bitew, zabójco, okrutniku, pogromco przeróżnych barbarzyńców! Już mówili, że cię jakiś olbrzymi Part połknął, ale nie wierzyłem, bo któreś zwierzę sprawiłoby tak rogatego, twardego Rzymianina...

Skrzywiwszy się pocieszenie, kichnął powtórnie.

– Ten twój święty dym, w którym wędzą się podobno, jak opowiadają stare baby, cienie naszych przodków, drapie mnie w gardle, w nosie, w płucach. Każde zgasić ognisko, jeśli nie chcesz gości swoich z domu wykurzyć.

– Marku! – mruknął Publiusz.

– Wiem, wiem, co mi powiesz – mówił przybyły żywo. – Powiesz, że Marek Kwintyliusz Warus, niecnota, hulaka, bluźnierca, lichy

filozof, nadziany sieczką grecką, odrodził się od przesławnego domu Kwintyliów. Umiejętnie wszystko na pamięć, boś mi nie szczędził nauk zbawiennych, ale mimo to pozwól sobie nie lubić dymu i dziwić się szczególnym gustom cieniów zmarłych. Bo przyznasz, że...

– Dosyć! – wyrzekł Publiusz.

Marek Kwintyliusz Warus ściągnął brwi i zasępił się, ale w jego dużych, błyszczących czarnych oczach śmiał się chochlik wesoly.

– Dosyć! – zawołał, naśladując surowy głos gospodarza. – Jowisz kapitoliniński zmarszczył się i huknął piorun.

– Dziecko, dziecko – mówił Publiusz z pobłażliwym uśmiechem na ustach. – Nie przestałeś być wyrostkiem, chociaż zasiadasz na krześle kurulnym...

– Zwykle drzemię na stolicy pretorskiej po nocy rozkosznie spędzonej.

– A któż wydaje wyroki?

– Moi sędziowie znają się na prawie lepiej ode mnie. Nie jestem ciekawy cudzych sporów.

– Omyliłem się, wierząc... ale mniejsza z tym. Usiądź i powiedz, ile pieniędzy potrzebujesz, bo nie odszukałbyś mnie tak szybko, gdybyś miał pełną szkatułę.

Marek Kwintyliusz roześmiał się pusto.

– Jak widzę, nie straciłeś dowcipu między barbarzyńcami – wyrzekł, osuwając się na krzesło.

Ale zaledwie dotknął twardych desek, zerwał się z pośpiechem.

– Mógłbyś kazać postawić w pracowni sofę, żeby się twoi goście nie kaleczyli – mruknął.

– Nasi ojcowie...

– Nasi ojcowie nie spoczywali na miękkich łóżach, wiem, wiem – przerwał Marek niecierpliwie – lecz nasi ojcowie mieszkali także w brudnych, zimnych, dymem ognisk okopconych norach i ubierali się w wilcze skóry.

Publiusz wzruszył ramionami.

– Nie mogę ci służyć innym siedzeniem – mówił głosem chłodnym. – Łóża znajdziesz u mnie tylko w sali jadalnej.

– W takim razie...

Z komicznym grymasem opuścił się Marek powtórnie na krzesło, poprawiając fałdów togi, której prawa poła osunęła się z lewego

ramienia. Wyciągnąwszy przed siebie nogi, obute w wysokie, sznurowane trzewiki z cienkiej, białej skórki, zaczął:

– Więc tak, prawdopodobny trybunie legionów, po sesterce przyszedłem do ciebie. Zgadłeś! Lichwiarze urządzili na mnie nagonkę, a szkatuła moja pusta.

– Wyjeżdżając na wojnę, zapłaciłem wszystkie twoje długi – mruknął Publiusz.

– Mówisz, jak gdybyś nie wiedział, że stan senatorski nie należy do wygodnych – odparł Marek, podnosząc białą, wypieszczoną, pierścieniami pokrytą rękę do ufryzowanych, złotym proszkiem posypanych włosów. – Albo trzeba się poniewierać w obozie na wietrze i skwarze do lat sędziwych, jak ty, albo sypać na wszystkie strony pieniędzmi, jak ja. Ta chciwa klientela kosztuje mnie dużo, legion niewolników pochłania połowę moich dochodów, a za krzesło kurulne zapłaciłem igrzyskami, w których utonęły moje dobra w okolicy Rawenny.

– Resztę zabrały histrionki, śpiewaczki greckie, tancerki wschodnie i biesiady – wtrącił Publiusz.

– Trochę i to – rzucił Marek niedbale, bawiąc się purpurowym szlakiem togi.

– Ileż potrzebujesz? – zapytał Publiusz krótko.

– Lichwiarze domagają się ode mnie miliona sesterców – odpowiedział Marek obojętnie.

W pracowni nastąpiło dłuższe milczenie.

Chłodna twarz Publiusza nie wyrażała ani zdziwienia, ani oburzenia. Tylko jego usta drgnęły lekko.

– A gdybym ci odmówił? – odezwał się po jakimś czasie głosem spokojnym.

– Nie uczynisz tego.

– Jesteś zbyt pewnym mojej hojności.

– Publiusz Kwintyliusz nie pozwoli na to, aby Marek Kwintyliusz, jego jedyny bliski krewny, utracił prawo do stanu senatorskiego.

Powtórnie zapanowało dłuższe milczenie. W oczach Publiusza przesuwały się cienie głębokiego smutku. Podniósł się ciężko z krzesła i wyrzekł, odwrócony twarzą do Marka:

– Mój rządca sprzeda niepotrzebnych niewolników, spienięży pałac na Palatynie i zapłaci twoje długi.

Szybko zerwał się Marek.

– Dziękuję ci, bracie – zawołał.

– Nie dziękuj! Nie dla ciebie pozbywam się domu, w którym urodziło się i umarło trzech konsulów z rodu Kwintyliów, lecz dla naszego nazwiska to czynię. Ale niech Marek Kwintyliusz pamięta, że majątek Publiusza nie sięga kroci milionów wzbogaconych na szpiegostwie wyzwoleńców. Może się on wyczerpać. I ja mam kosztowne obowiązki, przywiązane do purpury.

– Już o tym pomyślałem – odezwał się Marek.

– Ty? – wyrzekł Publiusz głosem, w którym brzmiało zdziwienie. Marek uśmiechnął się.

– Sądzisz, że umiem tylko trwonić – mówił, poprawiając fałdy togi, które się rozwinęły podczas siedzenia. – Kto lubi życie wygodne i przyjemne, ten nie zapomina o środkach, dających blask i niezależność. Żenię się...

– Żenisz się? Z kim?

– Dziwisz się, że znalazła się kobieta, która chce powierzyć losy swoje w ręce takiego niecnoty, jak ja? Jest w Rzymie dużo niewiast chciwych na tradycje i purpurę Kwintyliów. Żenię się za miesiąc.

– Z kim? – powtórzył Publiusz.

– Z trzystu milionami sesterców.

– Nazwisko?

– Bardzo piękne, historyczne – odpowiedział Marek z uśmiechem ironicznym. – Z Liwią, córką Fabiusza.

– Fabiowie wygaśli dawno.

– O, ci starzy, uwędzeni w dymach ognisk domowych, ci niemądrzy, co rozlewali krew na wszystkich polach bitew tworzącej się Romy, ci zuchwali, którzy ośmielili się nie wierzyć, w boskość pierwszych cesarów... Ale Fabiowie młodzi, pełni świeżości i nadziei, kąpiący się w morzu złota, kwitną i pożądamy wnuków...

Nie dokończył, w tej chwili bowiem pochwycił go Publiusz za obie ręce z taką siłą, że się zachwiał.

– Marku! – zagrało w gardle trybuna legionów odgłosem wewnętrznej, gwałtownie tłumionej burzy. – Ty mówisz o tym opryszku, którego przeklinają wszystkie sioła germańskie, o tym zdziercy, którego chciwość zasiała w lasach barbarzyńców nieprzejednaną

nienawiść do świętego Rzymu, o tym nikczemniku, poborcy, wyzwoleńcu egipskim...

– Jego ojciec był już wyzwoleniec – bronił się Marek, poblądłszy. – Kajus Fabiusz nosi na palcu pierścień rycerski i szczyci się przyjaźnią senatorów.

– Senatorów? – powtórzył Publiusz głucho, puszczając ręce krewnego.

– Tak, senatorów – potwierdził Marek żywo. – Przebywając ciągle z dala od stolicy, nie znasz naszych stosunków. Małżeństwa członków stanu senatorskiego z córkami wzbogaconych poborców, celników, przedsiębiorców budowy rządowych i tym podobnych dobrokiewiczów, nie dziwią już w Rzymie nikogo. Oni mają pieniądze, a my przodków i purpurę. Przodkowie i purpura bez pieniędzy, to śmieszność, to kalectwo.

– Oddam ci połowę majątku – wyrzekł Publiusz.

Marek wzruszył ramionami lekceważąco.

– Cóż byś ty mi mógł dać... – mówił – dziesięć, piętnaście milionów? To nędza dla Kwintyliusza...

Publiusz milczał, odwróciwszy się powtórnie od krewnego.

Po chwili odezwał się półgłosem:

– Chciałem prosić boskiego Marka Aureliusza, aby mnie zwolnił od obowiązku poślubienia drugiej żony, pamięć bowiem pierwszej nawiedza mnie dotąd w chwilach samotnych; ale widzę, że nie tobie przeznaczono odświeżyć dom Kwintyliów latoroślą godną naszego nazwiska.

– Żenisz się? – zawołał Marek wesoło. – Pamiętaj z siebie zdjąć grubą skórę legionisty, gdy staniesz pod sztandarem Wenery. Piękna bogini nie lubi togi z szorstkiej wełny, opalanej twarzy i ciężkich butów wojskowych. Tullia Kornelia dopytywała o dzień twojego powrotu. Życzę ci powodzenia.

– Zostaw mnie samego – wyrzekł Publiusz.

– Już idę, wilku obozowy, i wrócę dopiero wtenczas, kiedy zrozumiesz, że dobrze postępuję, sprzedając dziedzictwo przodków, które ma w naszych czasach tylko wtedy wartość, kiedy za nie głupcy płacą. A nie zapomnij o owym milionie...

Długo patrzył Publiusz na zasłonę, która zapadła za jego krewnym. Potem osunął się na krzesło i opuściwszy głowę, milczał.

Nie był to już ów dumny patrycjusz, udzielający posłuchania klientom. Ciężko dotknięty człowiek spoglądał przed siebie przy-
mknętymi oczyma.

Z ulicy dochodził go szum wielkiego, namiętym życiem
tętniącego miasta – głuchy, stłumiony szum olbrzymiej, wiecznie
ruchliwej fali, bijącej o brzeg samotnego dworca, odgradzonego od
wrzawy i zabiegów ludzkich.

Publiusz Kwintyliusz Warus podniósł wolno głowę. Wzrok jego,
pełen bóleści, spoczął na biustach Tacyta i Juwenalisa, a usta wyszeptały:

– Roma... Roma... Roma...



...ZACHWAŁ SIĘ, POTEM RUNĄŁ DO STÓP PATRYCJUSZA.

II.

W najbliższym sąsiedztwie starego dworca Publiusza Kwintyliusza, na tej samej ulicy, ciągnącej się u podnóża Pa-górka Ogrodów, znajdował się dom Tullii Kornelii, młodej wdowy po starym prokonsulu.

Wysoki mur nie zasłaniał białej, z marmuru zbudowanej willi przed oczami przechodniów. Wchodziło się do niej wprost z chodnika bazaltowego, biegnącego wzdłuż domów wąskim, podwyższonym pasem.

Nazajutrz, około godziny ósmej z rana, zatrzymała się przed tym pałacykiem złożona lektyka, niesiona przez czterech niewolników kappadockich, których poprzedał wyrostek, pełniący służbę lauffra.

– Zawołaj odźwiernego! – odezwał się spoza jedwabnych firanek, ozdobionych złotymi frędzlami, głos zmęczony.

Chłopiec pobiegł do drzwi, uderzył w nie młotkiem, a kiedy się kłapa, otwierająca okrągły otwór wycięty na dole powyżej progu, odsunęła, krzyknął:

– Przesławny Marek Kwintyliusz Warus rozkazuje ci, abyś stanął przed jego obliczem.

Natychmiast zaskrzypiały rygle i przed domem ukazał się otyły, wypasiony niewolnik z długą trzcina, zakończoną złotą gałką.

– Wywoływacz² niech oświadczy swojej pani, że pretor Kwintyliusz złoży jej za godzinę hołd poranny – wyrzekł Marek, nie wychylając głowy spoza firanek.

Odźwierny przyłożył rękę do piersi, a lektyka oddaliła się szybko.

W chwili, kiedy Marek Kwintyliusz wydawał polecenie jej niewolnikowi, wychodziła właśnie Tullia Kornelia z pokoju sypialnego. Ubrana w białą jedwabną tunikę, sięgającą aż do kostek, i w czerwone, lekkie sandały, przeszła do gotowni, gdzie czekała na nią

2 „Wywoływacz”, rodzaj sługi, którego czasy nowsze nie znają. Wywoływacz (*nomenclator*) oznajmiał w domu gości, a na ulicy, idąc obok lektyki, zwracał uwagę pana na mijające go osoby. Do czynności tej wybierano tylko niewolników, obdarzonych bardzo dobrą pamięcią.

służba z przyborami toaletowymi. Wysoka, zbudowana bez zarzutu, nie liczyła więcej nad lat dwadzieścia pięć. Płaszcz rozpuszczonych czarnych, lśniących włosów okrywał jej okrągłe, obnażone ramiona.

– Pozdrowienie tobie, pani! – odezwały się równocześnie trzy niewolnice egipskie.

– Pozdrowienie wam – odpowiedziała Tullia i spoczęła na krześle, zaopatrzonym poręczą, przed niskim, okrągłym stolikiem z drzewa cytrusowego, na którym stało srebrne lustro, oparte na głowie Herkulesa z kości słoniowej.

– Uczeszysz mnie dziś po grecku – rozkazała pani.

W milczeniu zabrała się stara, pomarszczona Egipcjanka do zwykłej czynności. Ostrożnie wzięła w żółte ręce bujne włosy Rzymianki i zaczęła je gładzić grzebieniem z brązu.

– Hiparchos zasnął prawdopodobnie – wyrzekła Tullia.

Zamiast niewolnicy, do której te słowa były zwrócone, odpowiedział jej mężczyzna w sile wieku, ubrany w ciemny płaszcz filozofa.

Wszedł, złożył głęboki ukłon plecom pani, ogarnął pożądlivym spojrzeniem jej postać i wyrzekł głosem słodkim:

– Hiparchos nie przebaczył by sobie nigdy, gdyby niecierpliwość swojej pani podrażnił najmniejszym niedbalstwem w pełnieniu obowiązków.

Nadworny filozof i lektor Tullii Kornelii usiadł na niskim stoliku i wydobywając z podłużnej, okrągłej puszkii kilka kart pergaminowych, zapytał:

– Czy zacząć tam, gdzie skończyliśmy wczoraj?

– Zaczynaj, gdzie chcesz – odpowiedziała Tullia. – Nie idzie mi wcale o doskonałą znajomość twojego śmiesznego Epikteta, lecz jedynie o pogląd ogólny na jego teorie. Możesz opuszczać całe rozdziały.

Hiparchos przesunął białą rękę po długiej brodzie i czytał:

„Gdy podczas podróży morskiej wysiądziesz na brzeg, wówczas podejmiesz z piasku muszelkę lub cebulkę. Ale zabawiając się w taki sposób, spoglądaj pilnie na okręt, aby cię nie odjechał. Bo gdy sternik zawoła, wówczas musisz rzucić wszystko, coś pozbierał, i biec za jego głosem. Tak samo ma się rzecz z życiem. Żonę i dziecko opuścisz, kiedy śmierć na ciebie skinie. W starości nie oddalaj się zbyt daleko od okrętu“.

– To znaczy... – chciał filozof tłumaczyć.

– Rozumiem – wtrąciła Tullia, biorąc ze stolika grubą, złotą szpilkę. – Dalej!

Egipcjanka splótła już włosy pani, zawiązawszy je z tyłu w węzełek grecki. Jej pomocniczki, dwie młode niewolnice zbliżyły się z gorącym żelazkiem.

– Ostrożnie! – wyrzekła Tullia i zagłębiła ostrą szpilkę w ramieniu tej, która nachyliła się nad nią pierwsza.

Dziewczyna zagryzła wargi z bólu, ale nie wydała z siebie najłżejszego głosu.

Hiparchos czytał dalej:

„Mężczyźni nazywają niewiastę już w czternastym roku życia panią. Gdy kobiety miarkują, że całą ich zasługą jest wspólne pożycie z mężczyznami, wówczas zaczynają się stroić, pokładając nadzieje swoje na błyskotkach. Należałoby zwrócić ich uwagę na to, że zasługują tylko wtedy na szacunek, gdy zachowują się skromnie i uczciwie.“

– Ten wasz uwielbiony Epiktet myślał widocznie tylko dla siebie, kiedy jego mądrość nie wpłynęła na filozofów – zauważyła Tullia, rzucając złośliwe spojrzenie na utrefione włosy i starannie utrzymaną brodę lektora.

– Byłoby rzeczą nieprzystojną stanąć przed obliczem tak pięknej i łaskawej patronki w stroju zaniedbanym – odpowiedział Hiparchos.

– Że uczyłeś się u retorów giętkiego słowa, o tym wiem, ale ja wymowy twojej nie potrzebuję. Zbliżasz mi żelazko zanadto do czoła, niezręczna! – fuknęła.

Powtórnie przeszła szpilka ramię niewolnicy, której oczy zaszyły łzami.

Cierpienie sługi obchodziło panią tak mało, iż nie zwróciła nawet wzroku w jej stronę, aby się przekonać o skutkach bolesnego napomnienia. Oparta z wdziękiem na poręczu krzesła, spoglądała w zwierciadło, śledząc pilnie ręce niewolnic, krzątające się koło jej głowy. Na jej twarzy świeżej nie było śladu najmniejszego podrażnienia. Zadawała rany ze spokojem i obojętnością operatora.

„Jest znakiem natury gminnej – czytał Hiparchos dalej – gdy się ktoś zajmuje zbyt gorliwie czynnościami zmysłowymi, gdy za dużo je, śpi i zbyt często z kobietami przestaje. Takie czynności trzeba tylko mimochodem wykonywać. Na ducha należy zwracać główną uwagę.“

Tullia uśmiechnęła się szyderczo.

– Uważałam – wyrzekła – że miałeś wczoraj doskonały apetyt, że jadłeś daleko więcej od nas, od natur gminnych. I starym winem nie pogardzasz i od grzesznych uciech nie stronisz.

Spojrzała na filozofa spod czoła, zmrużywszy powieki.

– Może byś się zgodził na post tygodniowy i na mieszkanie w becze? Miałbyś wówczas dużo czasu i spokoju do rozpamiętywania mądrych wskazówek swojego mistrza.

A kiedy zakłopotany lektor pochylał głowę nad zwojami papieru, dodała:

– Odłóż te brednie. To filozofia dla żebraków i niewolników. Nie rozumiem, jak boski Marek Aureliusz może się wczytywać z upodobaniem w takie śmieszności. Czy nowiny dzisiejsze już nadeszły?

Niewolnice, uporządkowawszy głowę pani, wplotły do jej włosów sznur pereł i zatknęły nad węzłem złoty grzebień, wysadzony drogimi kamieniami.

Dwie młodsze wybiegły i za chwilę wróciły, niosąc świeżo uprasowaną tunikę i długą białą suknię z miękkiej wełny syryjskiej, obramowaną purpurowym szlakiem.

Zanim włożyły tunikę na panią, stara Egipcjanka ścisnęła jej kibić³ szerokim pasem purpurowym, który podniósł piersi, uwydatniając pełny, okrągły biust. Wszystkie trzy krzątały się około ułożenia fałd powłóczyściej sukni, spadającej na posadzkę.

Uważnie śledziła Tullia pracę służebnic, słuchając jednym uchem nowin bieżących, które Hiparchos odczytywał z tabliczek woskowych:

„Boski imperator Marek Aureliusz raczył wczoraj z boskim imperatorem Lucjuszem Werusem być obecnym w obozie pretorianów przy poświęceniu nowego sztandaru. Boski Marek Aureliusz przemówił serdecznie do naszej dzielnej gwardii, dziękując jej za waleczność w wojnie z Partami.“

– Opuść wiadomości dworskie – wtrąciła Tullia. – Zobacz, czy nie ma dziś jakiego ciekawego widowiska.

Hiparchos czytał dalej:

– Z Afryki przybyły cztery słonie, które trybun Publiusz Kwintyliusz Warus nabył z zamiarem pokazania ich obywatelom Rzymu w dniu igrzysk pretorskich.

3 kibić daw. «talia, stan». Przep. Słownik języka polskiego PWN.

– Publiusz Kwintyliusz? W takim razie wrócił już trybun do stolicy...

– Mówił mi klient Lucjusz, że przesławny trybun znajduje się od dwóch dni w Rzymie.

– Czy nie wiesz, gdzie zamieszkał?

– W starym dworcu, obok nas.

Tullia uniosła palcami suknię i pokazując na niej przypalone miejsce, zapytała:

– Kto dziś prasował? Czy ty, Mimum?

Młoda niewolnica, z dużymi, piwnymi oczyma gazeli, przypadła do jej stóp z cichym jękiem.

– Ty wiesz, pani – szepnęła pobladłymi usty.

Tullia klasnęła w ręce. A gdy na znak ten wbiegł do gotowalni wywoływacz, rozkazała:

– Obnażysz Mimum, przywiążesz ją do słupa i każesz ją dozorczy osmagać. Czy nie pytał jeszcze nikt o mnie?

– Przesławny pretor Marek Kwintyliusz zapowiedział pozdrowienie – odpowiedział niewolnik, chwytając dziewczynę za włosy.

– Poprosisz pretora na dziedziniec.

Płacz niewolnicy nie przerwał ani na chwilą toalety Tullii, która, podniósłszy się z krzesła, przeglądała się spokojnie w zwierciadle.

Ubrana w białą, długą suknię, wcięta w pasie, szeroka w ramionach, wysoka, z głową o konturach czystych, jakby wyciosanych z kamienia, robiła wrażenie żywego posągu. Jej czoło i nos tworzyły linię prostą. Nad zmysłowymi, świeżymi ustami czernił się delikatny meszek. Z czarnych oczu tryskał żar młodości, spragnionej życia.

Podobała się snać filozofowi jego wyniosła pani, bo zapomniawszy o nowinach bieżących, wpatrywał się w nią wzrokiem kota, skradającego się do ptaka.

Tullia, choć udawała, że nie zwraca uwagi na zachwyty lektora, widziała doskonale jego nieme uwielbienie. Uśmiechnąwszy się pogardliwie, wyrzekła głosem chłodnym:

– Moje pieski afrykańskie nie widziały już od wczoraj słońca. Gdyby Hiparchos chciał być uprzejmym, to by się z nimi przeszedł po ogrodzie.

Filozof zbladł, ale podniósł się natychmiast i opuścił gotowalnię.

Stara Egipcjanka włożyła na szyję pani potrójny sznur pereł, na ramiona cztery złote, brylantami wysadzone bransolety i podała puzderko z pierścieniami. Wysokie trzewiki z białej, cienkiej skórki dokończyły toalety.

Spojrawszy jeszcze raz w zwierciadło, Tullia przeszła wprost z gotowalni na mały, czworoboczny, kryty dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron dwoma rzędami kolumn z marmuru kararyjskiego.

Posągi, wykonane przez znakomitych rzeźbiarzy i ogromne wazony z kwiatami egzotycznymi stały obok filarów. W środku mozaikowej, wzorzystej posadzki znajdował się głęboki, ocembrowany basen, w którym pluskały się duże ryby morskie. Dwóch kupidynów z brązu wyrzucało z ust strumienie wody, spadającej na powrót pyłem srebrzystym.

Zaledwie Tullia Kornelia ukazała się na dziedzińcu, otoczył ją rój niewolników. Krzątał się koło pani szybko, stąpając bez szelestu. Jeden niósł stolik, drugi ustawiał w słońcu sofę, trzeci układał poduszki, czwarty nakrywał do śniadania, piąty trzymał w ręku naczynia, szósty chleb, siódmy owoce.

Gdy Tullia spoczęła na miękkiej sofie, oparłszy lewą rękę na rzeźbionej poręczy, znikł tłum sług tak cicho, jak przyszedł. Został tylko młody, przystojny Grek z głową ufryzowaną, pełniący czynność rządcy domu.

– Czy Tymon ma do mnie jakie sprawy? – zapytała pani, niosąc do ust filiżankę z grzonym winem.

Niewolnik podał pani pęk tabliczek woskowanych.

Ale Tullia nie wyciągnęła po nie białej ręki, pokrytej pierścieniami.

– Rachunki? – wyrzekła obojętnie.

– Rachunki, pani.

– Odeślij je do rachmistrza.

– W kasie zabrakło pieniędzy, a jubiler, malarz i handlarz purpury nalegają – mówił rządcą.

Tullia Kornelia zmarszczyła brwi.

– Niech rachmistrz zapłaci – rzuciła niedbale.

Rządcą chciał jeszcze coś mówić, kiedy się z progu odezwał donośny głos wywoływacza:

– Przesławny Marek Kwintyliusz Warus!

Na dziedziniec wbiegł szybkim krokiem Marek, a zbliżywszy się do Tullii, ucałował jej ramię, mówiąc po grecku:

– Pozdrowienie tobie, piękna Tullio!

– Pozdrowienie tobie, śliczny Marku – odpowiedziała Tullia w tym samym języku, uśmiechnąwszy się do gościa przyjaźnie. – Ale jakże ty wyglądasz?

– Znacznie lepiej, niż przed godziną – odparł Marek. – Pozwolisz? – zapytał.

Kiedy go Tullia poprosiła ruchem ręki do zajęcia miejsca, rozłożył się wygodnie na drugiej sofie.

Był blady, znużony. Jego przygaste oczy podkręzały ciemne obwódki.

– Pytasz, jak wyglądam? – wyrzekł. – Tak samo, jakbyś ty wyglądała po nocy, spędzonej w gronie najweselszych w całym Rzymie towarzyszków.

– Rzym nie zna przyjemniejszego od ciebie lekkomyślnika – zauważyła Tullia.

– Tym razem przewyższył mnie imperator Lucjusz Werus – odpowiedział Marek, ziewając. – Przepraszam cię, droga Tullio, ale powinnaś przebaczyć krewnemu zmęczenie. Trzymam się ledwo na nogach. Już dawno nie bawiliśmy się tak doskonale. Ten Werus ma czasem pomysły, na jakie się nawet Kaligula nie zdobył. Wystawił sobie pochód tryumfalny z całym legionem śpiewaczek i tancerek, przeciągający obok sali, w której boski Marek Aureliusz dysputuje ze swoimi filozofami o znikomości rzeczy ludzkich. Lucjusz Werus lubi swojemu bratu i teściowi płać takie figle.

– A imperator Marek Aureliusz? – zapytała Tullia.

– Boski imperator wzrusza ramionami i uśmiecha się z pobłażliwością mędrca.

– Gdybym była Lucyllą, nie zgodziłabym się na takie zgorszenie publiczne.

– Lucjusz Werus nie wspomina nigdy o małżonce, jak gdyby wcale nie istniała.

Powtórnie ziewnął Marek.

– Prawdopodobnie zgrałeś się znów w kości do ostatniego sesterca, skoro odważyłeś się przybyć do mnie w takim stanie – mówiła Tullia, marszcząc brwi. – Wiesz, że nie lubię, gdy mężczyzna

nie zachowuje należnych kobiecie względów. Daremnie się zresztą trudziłeś, bo i u mnie rachunki niezapłacone.

– Taka drobnostka, jak przegrane w kości, nie nakłoniłaby mnie do narażenia się na słuszny gniew pięknej Tullii – odpowiedział Marek.

– O, więc sprawa ważniejsza. Słucham!

Tullia poprawiła się na sofie, zwracając na pretora wzrok ciekawy.

– Uprowadzam cię z góry, że dowiesz się z początku rzeczy nieprzyjemnych – zaczął Marek – ale nie obawiaj się, po przykrości bowiem nastąpi dobra nowina. Czy to prawda, że twój rachmistrz zaczyna być niewypłacalnym?

Śniada twarz Tullii pokryła się bladością.

– Marku! – szepnęła.

– Nie obrażaj się, proszę. Mnie trudne położenie ani dziwi, ani gorszy, bo przywykłem do niego; dziwi mnie tylko i gorszy, gdy kupcy mówią z lekceważeniem o podpisie Kornelii.

Pretor spojrział uważnie na zachmurzoną twarz Tullii i mówił dalej głosem przyciszonym:

– Nie twoja wina, że nie możesz się obejść bez legionu niewolników, którzy cię oszukują i kradną, i nie ty zawiniłaś, iż nie znasz wartości pieniędzy. Tak cię wychowano. Ale świat nie patrzy oczami krewnego. Ty wiesz, że Rzym nienawidzi ubóstwa, gardzi nędzą, ma wstręt do wytartej sukni. Nie mogę sobie ciebie nawet wystawić bez świetnej oprawy.

Wdowa po prokonsulu słuchała uważnie słów pretora. Jej gładkie czoło marszczyło się pod falą myśli, tłoczących się pod czaszką.

Marek nachylił się do niej i mówił prawie szeptem:

– Jeszcze rok, dwa, trzy, a zostaniesz bez dachu nad głową. Chcesz czekać, aż cię wierzyciele wypędzą z pałaców i cisną między motłoch? Albo może wyjdiesz za jakiego wzbogaconego lichwiarza, celnika, poborcę, który się na twoje stosunki ułakomi?

Wolno podniosła się Tullia z sofy i wyprostowawszy się dumnie, rzuciła na pretora spojrzenie podrażnionej lwicy.

Ale Marek wytrzymał spokojnie jej wzrok, w którym iskrzyły się błyski gniewu.

– Co się dziś wydaje hańbą, nieszczęściem, to powitasz jutro z radością, gdy komornik zastuka do twojej bramy – wyrzekł. – Człowiek

nie jest panem swoich upodobań i wstrętów. Jak z uschłym liściem, igrają z nami okoliczności.

Wstał z sofy, wziął Tullię pod ramię i poprowadził ją wzdłuż kolumnady. Szli obok siebie przez jakiś czas w milczeniu, potem zaczął znów Marek:

– Na położenie twoje jest sposób bardzo prosty. Publiusz wrócił do Rzymu... On ciebie zawsze bardzo lubił...

– Publiusz był zawsze dziwakiem – odezwała się Tullia.

– Nie byłabyś kobietą, gdybyś nie umiała grać przez pewien czas roli matrony w dawnym stylu. Masz postać, ruchy, urodę i dumę starszej Agrypiny, reszty zaś dopełni przebiegłość niewieścia. Każ ustawić w sali kilka kołowrotek i krosien, roznieć ognisko domowe, pochowaj greckie romanse i lubieżne malowidła; posługuj się w rozmowie z Publiuszem zawsze naszą mową, rozprawiaj dużo o świetności Rzymu, o obowiązkach patrycjuszki, o posłannictwie żony, matki, gospodyni; chodź do świątyń i udawaj, że wierzysz w brednie kapłanów. Publiusz, jak każdy żołnierz, nie odznacza się chytryścią. Wezmiesz go bardzo łatwo, a rzuciwszy tego nieokrzesanego wilka bitew raz do stóp swoich, zrobisz z nim później, co zechcesz.

– To tylko mnie dziwi – odezwała się Tullia, patrząc prosto w oczy Marka – że ty, który jako brat stryjeczny Publiusza, masz prawo do spadku po nim, zachęcasz mnie do małżeństwa.

– Nie pozbawiałbym się własnowolnie milionów Publiusza, gdybym był przekonany, że one do mnie przejdą – odpowiedział Marek.

– Więc cię wydziedziczył?

– Nie, ale oświadczył mi wczoraj, że się ożeni, a wolałbym widzieć ciebie obok niego, niż kobietę inną. Z tobą porozumiem się łatwo, gdybym się znalazł w potrzebie.

– Tylko to? – zapytała Tullia, nie spuszczać oka z twarzy Marka. – Jakiej jeszcze nagrody żądasz za dobrą radę?

Marek roześmiał się z przymusem.

– Nie omyliłem się, pokładając wielkie nadzieje w twojej przebiegłości – odparł zakłopotany. – Chciałem cię prosić o wielką łaskę.

Po chwili milczenia dodał głosem niepewnym:

– Liwia, córka Fabiusza, chce być u ciebie z pozdrowieniem.

Tullia, opierająca dotąd rękę na ramieniu Marka, wysunęła ją szybko.

– Żądasz ode mnie zbyt wielkiej ofiary – wyrzekła chłodno.

– Wiem, że duma twoja ucierpi dużo, gdy stopa tej dorobkiewiczówny przekroczy próg Korneliów; wiem wszystko, co mi możesz powiedzieć, sam nawet podzielałam twój wstręt do tych wzbogaconych łotrów, ale mimo to, proszę cię, abys przyjęła u siebie Liwię. Nie widzę innego wyjścia, Tullio. Wiesz, że jestem zrujnowany, a nie mogę liczyć na propretoryaty i prokonsulaty, na znaczne dochody w prowincjach, jak Publiusz, bo nie uważałem nigdy za potrzebne i rozumne ubiegać się o względy Marka Aureliusza za pośrednictwem tak zwanej cnoty obywatelskiej, czy zasługi innej. Tyle się przodkowie moi nawojowali i nawysługiwali na różnych stanowiskach, iż sądzę, że zrobili dosyć dla Rzymu, nie tylko za siebie, ale i za mnie. Wyżej już nie pójdę. Pretorat zamknij moją karierę senatorską. Jeśli się nie ożenię z Liwią, wówczas spadnę do motłochu, jak tyłu innych z naszego stanu.

Stali obok basenu. Tullia spoglądała przez zmrużone powieki z zaciśniętymi ustami na ryby, pluskające się w wodzie. Marek schylił się nad jej ręką i ucałował ją gorąco.

– Nie odmawiaj mi, droga Tullio – prosił. – Fabiusz żąda za swoje miliony stosunków z naszą rodziną, a Publiusza nie śmiem nawet prosić o otwarcie domu dla tego dorobkiewicza, bo gotów mi w odpowiedzi podać miecz albo truciznę.

– A twoja żona? – zapytała Tullia, nie podnosząc głowy.

– Lucylla Kwintylia wróciła już do ojca. Widząc, że czeka ją niedostatek, zgodziła się na rozwód bez oporu. Jestem wolny.

Milczeli przez jakiś czas, potem zapytała Tullia:

– Czy niema w Rzymie innej panny lub wdowy posażnej, godniejszej nazwiska Kwintyliów?

– Jest ich dużo – odparł Marek – ale któraż z nich chciałaby powierzyć losy swoje wesołemu pretorowi, jak mnie w mieście nazywają! Tylko córkę poborcy oślepia szeroki szlak purpurowy do tego stopnia, iż nie widzi poza nim jego właściciela. Zresztą, droga Tullio, gdybyśmy się chcieli stosować do przesądów naszych praojców, to nie mielibyśmy już wielkiego wyboru. Patrycjuszów z naszymi

tradycjami posiada obecnie Rzym ilość tak szczupłą, że rozplynęli się bez śladu w morzu dorobkiewiczów. Nawet Antoninowie, chociaż siedzą na tronie, nie sięgają aż do królów albańskich, jak my, a znaczna część współczesnych senatorów wywodzi ród swój z plebejów i wyzwolenców, chociaż im greccy heraldycy wynajdują za pieniądze przodków między bogami. Rody patrycjuszowskie, jak ci dobrze wiadomo, wygasły prawie do szczętu. Wytłukły je wojny, proskrypcje, strach i zemsta Kaliguli, Nerona i Domicjana, dobiło je w końcu ubóstwo. Jest nas już tak niewielu, że moglibyśmy się pomieścić wszyscy w jednym domu, przeto byłby nierozumnym, kto by się chciał zasklepić w tym naszym ciasnym kółeczku. Dziś purpuraci, konsulowie, cenzorowie, pretorowie, edyłowicze i trybunowie – to ludzie nowi, których historia nie sięga trzech, czterech pokoleń. Na nic nie zdałby się nasz opór. Nowe czasy przyjdą po nas, jak po trupie, jeśli nie będziemy się odświeżali pieniędzmi dorobkiewiczów.

– Publiusz postępuje inaczej – zauważyła Tullia.

– O, Publiusz – zawołał Marek – to upór z epoki królów, to obywatel drewnianego Rzymu, ja zaś jestem dzieckiem złotej, marmurowej, rozkosznej, oświeconej stolicy świata.

Pochylił się znów do ręki Tullii i przyłożył do niej usta.

– Nie odmawiaj mi – prosił. – Czy chcesz koniecznie, abym sobie przeciął żyły w kwiecie wieku?

– Marku!

– Tak stanie się niezawodnie, bo żyć bez znacznej fortuny nie chcę, nie umiem. Nie zapominaj, że trzysta milionów Liwii pokryją jej pochodzenie. Rzym nie pamięta bogaczowi kapelusza wyzwolenca.

– Trzysta milionów – szepnęła Tullia.

– Tyle ukradł ten łotr w Germanii. Ma za co kupić sobie drzewo genealogiczne, sięgające aż do Jowisza.

– Więc to konieczne?

– Zgadzasz się?...

– Grozisz samobójstwem...

– Dziękuję ci, Tullio. Wiedziałem, że twój rozum uchyli się przed koniecznością. A teraz pozwól się pożegnać, bo dobywałem resztek sił, aby cię przekonać. Noce bezsenne zaczynają mnie już męczyć.

Wtem rozległ się w ogrodzie krzyk przenikliwy. Jakaś kobieta wołała o pomoc.

– Kazałaś osmagać niewolnicę? – zapytał Marek obojętnie.

– Prasowaczka spaliła mi suknię – odpowiedziała Tullia, siadając na sofie.

– Każ bić tak, żeby dozorca nie łamał kości, bo Marek Aureliusz zaczyna się litować nad niewolnikami. To także nowość szczególnego rodzaju... Życzę ci dnia wesołego, a nie zapominaj o radach, które ci dałem. Bądź matroną, o taką...

I ucałowawszy ramię Tullii, oddalił się Marek krokiem wolnym, przesadnie poważnym, naśladując ruch łabędzia, posuwającego się na powierzchni jeziora.

Na progu odwrócił się.

– Do widzenia, matrono drewnianego Rzymu – wyrzekł.

– Do widzenia, miły łobuzie...

Uśmiechnęli się do siebie życzliwie.

Ułożywszy się wygodnie na sofie, wzięła Tullia ze stolika „Sztukę kochania“ Owidiusza, oprawną w kość słoniową.

Krzyk chłostanej niewolnicy słabł, targał się w cichym, urywanym jęku, aż skończył zupełnie.

Pograżona w księdze trzeciej „Sztuki kochania“, podającej kobietom sposoby podbijania serca męskiego, nie spostrzegła Tullia, że przez drzwi, łączące dziedziniec z salą jadalną, weszła wysoka postać niewieścia, ubrana tak samo, jak ona, w białą suknię ze szlakiem purpurowym. Dopiero, kiedy jej ramienia dotknęły białe, długie palce, podniosła głowę.

– To ty, Mucjo? – wyrzekła, odkładając książkę. – Domyślałam się, że ten niezręczny Hipiasz stłukł znów jaką wazę lub sprzęt inny. Pozwoliłam ci raz na zawsze karać niewolników podług uznania. Mucja Kornelia nie jest obcą w domu stryjenki. Będę ci nawet bardzo wdzięczna, jeżeli zdejmiesz ze mnie zupełnie ciężar drobnych trosk domowych, które tobie taką przyjemność sprawiają, ty mała gospościu. Więc Hipiasz wyrządził szkodę? Spocznij i opowiedz, jak to było.

Uśmiechnąwszy się uprzejmie, wsunęła się Tullia w głąb sofy, robiąc miejsce dla synowicy.

– Tu, przy mnie usiądź! – zapraszała.

– Nie ze skargą na służbę, lecz z prośbą przychodzę dziś do ciebie, stryjenko – wyrzekła Mucja.

Jej głos miękki, melodyjny, brzmiał jak ton fletni.

– Mucja z prośbą? Mucja, która lekceważy kosztowne materie, drogie kamienie, wesoly teatr i świetne igrzyska? Może serduszko twoje zabiło nareszcie?

Tullia zasępiła się nagle.

– Przyznaj się – mówiła, wpatrując się niespokojnym wzrokiem w twarz synowicy. – Twój posag...

Mucja zwróciła na stryjenkę duże, piwne, rozmarzone oczy.

– Serce moje nie znalazło dotąd nikogo, kto by był godnym jego miłości – odpowiedziała – o posag zaś nie mam potrzeby lękać się, dopóki się w twoim znajduje rękę.

Po ustach Tullii przemknął się uśmiech nieszczerzy.

– Możesz go odebrać w każdej chwili – podchwyciła szybko – gdy zapragniesz własnego ogniska, ale nie wierzę, żeby patrycjuszka z twoimi pojęciami znalazła w Rzymie rychło odpowiedniego małżonka.

– Nie cały Rzym...

Mucja nie dokończyła myśli. Jej białą, puszkami młodości pokrytą twarz oblał ciemny rumieniec.

– Nie cały Rzym zapomniał o cnotach przodków, chciałaś powiedzieć? – dokończyła za nią Tullia głosem twardym. – Szukaj, czekaj, czekaj, życzę ci szczęścia... A twoja prośba...

– Potrzeba mi niewolnicy do osobistej usługi – wyrzekła Mucja.

– Cały mój dwór słucha twoich rozkazów.

– Upodobałam sobie szczególnie jedną z twoich pokojówek. Chciałabym, żeby należała tylko do mnie.

– Nie ma między nimi ani jednej, bez której bym się nie mogła obyć.

– Sprzedaj mi Mimut, stryjenko.

Tullia, zacisnąwszy usta, milczała.

– Rozumiem – odezwała się po chwili, rzuciwszy synowicy spojrzenie nienawistne. – Litujesz się nad tą nędznicą, której niezręczność pobudziła mnie już tyle razy do gniewu. Powinnam ci odmówić, ale ponieważ to twoja pierwsza prośba, przeto bierz ją. Cenę każę postawić na twoim rachunku.

– Dziękuję ci, stryjenko – wyrzekła Mucja i wyszła szybko do sali jadalnej. Tu wzięła naczynie, napełnione balsamem i udała się do ogrodu.

Lekką stopą posuwała się szpalerem mirtowym, nasłuchując uważnie. Gdy doszła do klombu, utworzonego z cyprysów, przystanąła. Cichy płacz dochodził spod muru. Rozchyliwszy gałęzie, ujrzała jakieś ciało skulone, zmięte, pokryte jedną wielką raną.

Niewolnica egipska, jeszcze obnażona, z poszarpanymi od bata plecami, cała obłana krwią, klęczała na trawie, wyrzucając z piersi łkania stłumione. W obu rękach trzymała dwa patyczki, złożone na krzyż. Pochylała się, uderzała głową o ziemię i skarżyła się komuś w języku swojej dalekiej ojczyzny.

Mucja nie rozumiała słów skatowanej dziewczyny, ale odczuła w jej kwileniu gorzkie łzy nie mocnej rozpacz. Zdeptany robak wiał się u jej stóp i niósł komuś w ofierze swój ból serdeczny.

– Mimut – rzekła Mucja łagodnie, kładąc rękę na głowie niewolnicy.

Egipcjanka ukryła szybko w dłoni patyczki złożone na krzyż i podniosła do patrycjuszki twarz przerażoną.

– Ty chrześcijanką jesteś, Mimut? – zapytała Mucja.

Oczy niewolnicy rzucały przez kilka chwil na około spojrzenia niepewne, jakby szukały drogi do ucieczki. Potem zalały się łzami i spuściły ku ziemi.

– W Odkupiciela ubogich wierzę, pani – szeptała Mimut, przykładając krzyż do piersi – w Boga nieszczęśliwych... Oddaj mnie w ręce pretora i każ mnie rozszarpać dzikim bestiom, abym opuściła tę ziemię, na której nie ma litości dla zwyciężonych.

– Jeżeli bogowie chrześcijan – mówiła Mucja – mogą ci dać siłę do zniesienia nieszczęścia twojego życia, to módl się do nich i pros ich o cierpliwość, ale czyn to z dala od oczu ciekawych. Mucja Kornelia nie odda ciebie w ręce pretora, bo nie pragnie okrutnej śmierci nawet niewolnika. Bądź dobrej myśli, Mimut. Kupiłam cię dziś od Tullii Kornelii, abyś mi wiernie służyła.

I nachyliwszy się nad Egipcjanką, lała balsam na jej rany.

– Pani, pani – łkała niewolnica, całując stopy patrycjuszki. – On, On ci wynagrodzi, On, Bóg nieszczęśliwych...

Ani pani, ani sługa nie spostrzegły, że przez wyłom w murze, który oddzielał posiadłość Tullii Kornelii od ogrodu sąsiedniego, spoglądała

na nie para czarnych oczu. Były one naprzód chłodne, potem zdziwione, w końcu straciły połysk twarde, zachodząc mgłą zadumy.

Publiusz Kwintyliusz Warus był ukrytym świadkiem sceny, która rozegrała się po drugiej stronie muru.



- MIMUT - RZEKŁA MUCJA ŁAGODNIE...

III.

Ulica Szeroka, łącząca bramę Flamińską z sercem Rzymu, z jego rynkami i głównymi gmachami rządowymi, patrzyła codziennie na widowiska ciekawe.

Tędy ciągnęły od samego świtu liczne grupy klientów, śpieszących z hołdem do starych dworców i nowych pałacyków, rozrzuconych u stóp Pagórka Ogrodów, tędy przepływał w godzinach przedobiednich cały świat elegancki i próżniaczy stolicy udając się na Pole Marsowe, do łaźni i zakładów gimnastycznych, do sal fechtunkowych i sklepów jubilerskich. I żaden obywatel, którego sprawy sądowe powoływały na Kapitol lub na Forum Romanum, jeżeli mieszkał w okolicach pagórka Watykańskiego, nie mógł ominąć tej drogi.

Nazywała się ona Szeroką, była bowiem w istocie szerszą od innych, w znacznej części bardzo wąskich ulic starożytnego Rzymu. Otoczona z obu stron kamienicami, sięgającymi sześćdziesięciu stóp wysokości, nieożywionymi z frontu oknami, robiła wrażenie głębokiego parowu wykutego w skale.

Nie o wygodę i piękno szło budowniczym, gdy stawiali te niebotyczne, kwadratowe pudła z kamieni gabińskich. Gdzie do głównych zadań architekta należało wyzyskanie każdego cala przestrzeni wzdłuż, wszerej i w górę, tam nie mogło być mowy o uwzględnieniu warunków zdrowotnych i estetycznych.

Gnieździł się tu przemysł i handel. Każdy dom miał na parterze kilka sklepów lub warsztatów.

Jeszcze słońce nie wyjrzało spoza gór Albańskich, kiedy zaspani chłopcy podnosili zasłony płócienne, przekomarzając się z drobnymi przekupniami, którzy rozkładali towary swoje na chodniku. Pachółkowie miejsca pilnowali, by kramiki, koczujące pod gołym niebem, nie tamowały swobodnego ruchu lektyk i przechodniów.

Równocześnie z wschodzącą gwiazdą dnia rozpoczynał się zwykły gwar ulicy ludnej i pracowitej. Krzykliwy gmin rzymski zabierał się do roboty z głośnie wrzawą śmiechów i nawoływań.

Nie brakło „panom świata“ przedmiotu do wesołej gawędy i uwag dowcipnych. Głównie klienci, snujący się całymi stadami, przechodzili przez różgi ostrych języków.

Była już godzina ósma, kiedy od strony Panteonu wtoczył się na ulicę orszak tak liczny, że zajął całą jej szerokość. Przedtem biegli dwaj laurfrowie w żółtych tunikach, rozpędzając gapiów za pomocą długich trzcin. Za nimi postępowało kilkudziesięciu klientów w białych togach. Ponad tłumem niewolników różnych narodowości kołysała się ogromna, złożona lektyka, niesiona przez ośmiu drabów w niebieskich sukniach.

Już dawno nie widziała ulica Szeroka tak wspaniałej świty. Jakiś wielki pan udawał się do innego magnata z rannym pozdrowieniem.

Kupcy i rękodzielnicy wyszli przed sklepy i warsztaty; drobni handlarze zaprzestali nawoływań; pacholtkowie prefekta miasta spędzali ciekawych na chodniki, robiąc miejsce dla dworu bogacza.

Owiana szeptem podziwu i ścigana spojrzzeniami zazdrości, posuwała się lektyka wolno, świecąc białymi ścianami na barwnym tle pstrych sukien niewolników. Spoczywał w niej, na purpurowym wyślaniu, mężczyzna w sile wieku, mający obok siebie młodą dziewczynę.

Małe, chytre oczy pana rozglądały się uważnie w tłumie, jakby się czegoś obawiały. Ale plebs rzymski zachowywał się spokojnie, składając milczeniem hołd Złotemu Cielcowi.

Jakiś tylko pauper, sprzedający kwiaty, przebiegł pędem wzdłuż orszaku i wrzasnął:

– Fabiusz... lichwiarz... liiichwiaz... ropucha... rrrropucha...

Zanim się pacholtkowie miejscy spostrzegli, obdartus skręcił w boczną uliczkę i przepadł.

Ktoś przyklasnął śmiałkowi, ku zgorszeniu bogacza, który zapuścił szybko firanki.

Wtem wszczęła się na czele orszaku wrzawa.

Od bramy Flamińskiej zbliżało się dwóch wojskowych, ubranych w buty i ciemne grube płaszcze z kapturami, używane przez legionistów, stojących załogą w prowincjach północnych.

Chociaż należeli do przesławnej armii stolicy świata, nie gorąca Italia była snąć ich kołyską. Bujne, jasne włosy z odcieniem złotawym, spadały w kędziarach na ich szerokie ramiona. Słońce i wichry pól i lasów spaliły ich twarze, a kurz dalekiej drogi pokrywał suknie. Wysocy, zbudowani jak atleci, przerastali plebs rzymski o całą głowę.

Szli wolno, kołyszącym chodem kawalerzystów, i rozglądali się ciekawie wokoło. Spotkawszy się z orszakiem, usunęli się ku chodnikom, nie opuszczając środka ulicy.

Nie podobało się to jednemu z klientów bogacza, bo krzyknął:
– Z drogi, psy germańskie!

A kiedy wezwanie to nie poskutkowało, wówczas przyskoczył i szarpnął młodszego z wojskowych za płaszcz.

– Czy nie widzisz, kto idzie?

Germanin zmarszczył brwi, wskazał starszemu towarzyszewi palcem, ozdobionym sygnetem rycerskim, zuchwalca i wyrzekł tylko jedno słowo:

– Herman!

W jego głosie brzmiał rozkaz.

Zrozumiał go brodaty wojak, bo odepchnął krzykacza z taką siłą, że obywatel rzymski runął na kamienie.

W jednej chwili otoczył Germanów tłum wrzeszczący i gestykujący.

– Barbarzyńcy!

– Rozbijają obywateli rzymskich.

– Chwytajcie ich!

– Prefekt się z nimi rozprawi!

– Gdzie straż? – wołano.

Nadbiegli pachołkowie miejscy.

– Do którego legionu należycie? – zapytał jeden z nich.

Zamiast odpowiedzi, odrzucił młodszy Germanin płaszcz, odślaniając srebrną zbroję. Na jego szyi błyszczał złoty łańcuch, nagroda walecznych, a biodra opasywała mu barwna wstęga, znak wyższego oficera.

– Miejsce dla prefekta legionów boskiego imperatora! – zawołali pachołkowie równocześnie, pochylając przed barbarzyńcą topory, tkwiące w pękach różg. – Rozstąpcie się!

Z niechętnym pomrukiem usuwał się plebs rzymski przed wodzem jazdy germańskiej.

– Barbarzyńców robią prefektami! – podawano sobie z ust do ust.

Scena ta odbyła się tak szybko, że bogacz nie zdążył nawet zapytać wywoływacza, który postępował obok lektyki, o powód przeszkody, kiedy już orszak ruszał dalej.

Teraz wychylił głowę spoza firanek, ale, zaledwie spostrzegł Germanów, cofnął ją natychmiast.

– Pośpieszcie się! – rozkazał tragarzom.

– Fabiusz! – wyrzekł prefekt. – Poznałeś tego łotra?

– Znają go wszystkie sioła markomańskie – odpowiedział starszy Germanin. – Przeczuję, że jego to zbiry ściągnęły rękę na waszą narzeczoną, panie.

– Tylko ostrożnie. Jeśli to jego sprawka, to należy być chytrym, jak on sam. Trzeba się z jego niewolnikami porozumieć. Widziałem w jego otoczeniu kilku nieszczęśliwych z naszych lasów.

– Już o tym myślałem.

Germanowie skierowali się w stronę Kapitolu, orszak zaś Fabiusza posuwał się w górę, budząc wszędzie podziw i zazdrość. Zrównawszy się z mauzoleum cesarza Augusta, skręcili na prawo.

– Do willi Tullii Kornelii! – krzyknął wywoływacz na laufrow.

Krewna Marka Kwintyliusza czekała, zwyczajem rzymskim, od samego rana na jego przyszłą żonę. Załatwiwszy się wcześniej, niż zwykle, z toaletą i śniadaniem, przeszła do sali przyjęć, gdzie rozłożyła się na sofie i słuchała Hiparcha, który jej jakąś powieść grecką odczytywał.

Jak w domu Publiusza Kwintyliusza, stały i tu z obu stron drzwi, prowadzących do przedsionka, szafy z woskowymi podobiznami przodków. Szereg konsulów, pretorów i trybunów spoglądał na Tullię. Malowidła, pokrywające ściany marmurowe, przedstawiały bitwy i pochody triumfalne.

Było to jednak wszystko, co przypominało starożytne pochodzenie Korneliów.

Zamiast twardych ław dębowych, zapraszały do spoczynku wygodne sofy, pokryte jedwabiem, rozstawione ze smakiem na około środkowego zagłębienia wśród klombów palm i kwiatów egzotycznych. Tam, gdzie się w dawnych domach rzymskich znajdował ołtarz, tryskał tu z głowy amorka strumień wody różanej, napędzającej salę wonią omdlewającą.

– Ci twoi pisarze greccy przestają być zabawni – odezwała się Tullia. – Zawsze te same przygody w podróży, rozbicie okrętów, pobyt kochanków na wyspie odludnej. Słyszałam to już sto razy.

– Miłość nie traci nigdy krasy młodości – odparł filozof głosem cichym.

– Tak sądzisz?...

– Ty wiesz o tym, pani.

Patrycjuszka, podniósłszy głowę, spotkała się z płomiennym wzrokiem Greka. Pożerał ją oczami.

– Czy listy do rządców wiejskich wysłane? – zapytała Tullia, uśmiechnąwszy się nieznacznie.

– Jak rozkazałaś pani – odpowiedział filozof, pochylając głowę nad zwojami papieru.

– Słyszę kroki Marka Kwintyliusza. Nie jesteś mi już potrzebny. A nie białamuc mi zanadto niewolnic. Uważam, że poważna filozofia nie gardzi pieszczotami Amora.

W chwili gdy się Hiparchos podnosił, wbiegł Marek. Był dziś wypoczęty, świeży, cały biały, od upudrowanej głowy począwszy, a skończywszy na trzewikach. Jego lśniące, z włosów starannie oczyszczone ramiona zdobiły kosztowne bransolety. Zapach wschodnich woni wiał od niego.

– Przychodzę ci z pomocą, obawiam się bowiem, że cię blask złota Fabiusza porazi, jak słońce afrykańskie – mówił Marek, całując rękę Tullii. – Już ciągnie z całym dworem, widziałem go z daleka.

Tullia zmarszczyła lekko brwi.

– Ciebie wszystko bawi... – wyrzekła.

– Bawiło, chcesz powiedzieć. Zaczynam już uważać, że życie nie jest tak wesołe, jak mi się jeszcze niedawno zdawało! Dużo rzeczy przestało mnie zajmować, a najmniej przyjemności znajdę w towarzystwie takich Fabiuszów i ich córek, ale mam zwyczaj nieogłądania się poza siebie, gdy postanowiłem iść naprzód.

Na progu stanął wywoływacz.

– Znamienity Lucjusz Fabiusz Pomponiusz Furio! – oznajmiał.

– Juliusz Cezar Klaudiusz Antoniusz – zaśmiał się Marek, gdy sługa znikł. – Już sobie wymyślił cztery nazwiska i kupił w budach egipskich dwie stare szafy z antenatami⁴. Jestem przekonany, że go

4 antenat «przodek zarówno w linii ojca, jak i matki», słownik języka polskiego PWN.

za rok jaki mędrzec grecki wywiedzie od samego Romulusa, a świat uwierzy, dopóki nowy patrycjusz będzie mógł swój rodowód popierać złotem. Powinnaś mi być wdzięczną, że wchodzisz za moją przyczyną do tak znakomitej rodziny.

– Marku! – wyrzekła Tullia, podnosząc się z sofy – drwij tylko z siebie...

Dalsze jej słowa powstrzymał szelest zasłony.

Do sali wszedł pewnym krokiem Fabiusz, prowadząc za rękę córkę. Średniego wzrostu, ubrany w togę nieposzlakowanej białości, ozdobioną u spodu wąskim szlakiem purpurowym stanu rycerskiego, obrzucił szybko bystrym spojrzeniem małych, przenikliwych oczu wyniosłą postać patrycjuszki.

Przez chwilę wahała się Tullia, nie wiedząc, jak postąpić. Ale już zapanowała nad sobą. Ze swobodą damy wielkiego świata przywołała na usta zdawkowy uśmiech, zbliżyła się do Liwii i wyrzekła pocałowawszy ją w czoło:

– Witaj pod dachem Korneliów! Żona krewnego, którego kocham, będzie mi zawsze miłym gościem.

A odpowiedziawszy na ukłon Fabiusza lekkim pochyleniem głowy, wskazała ręką na sofę.

– Proszę – dodała.

Żółtą twarz Fabiusza, zeszepecona dużym garbatym nosem i szerokimi ustami, rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

– Bogowie, zesławszy dzień pogodny, zdają się sprzyjać związkowi naszych domów – odezwał się po grecku, zajmując miejsce naprzeciw pani domu.

– Młodości, składającej marzenia dziewicze na ołtarzu Hymenu, towarzyszą zawsze dobre wróżby bogów życzliwych – odpowiedziała Tullia, zwracając się w stronę Liwii.

Jej słowa uprzejme nie wywołały rumieńca na twarzy dziewczyny, chociaż narzeczona Marka liczyła dopiero lat piętnaście.

– Szczęśliwym wróżbom bogów dopomoże powolność Marka Kwintyliusza – odezwała się panna, posyłając narzeczonemu uśmiech zalotny.

– Będę się starał, żeby cię dobre wróżby nie zawiodły – mruknął Marek.

– Spodziewam się tego...

W głosie Liwii, gdy te słowa wygłaszała, tętniło tyle stanowczości, że Tullia spojrziała na nią uważnie.

Piękną nie była córka milionera. Niskiego wzrostu, krępa, z podłużną głową Egipcjanki, miała ogromny nos, grube, zmysłowe wargi i małe chytne oczy ojca. Rozłożona na sofie, ze swobodą osoby, znajdującej się w swoim towarzystwie, nie zdawała się wcale oceniać zaszczytu, jakiego dostąpiła, przekraczając próg Korneliów.

Nie podobało się to patrycjuszce. Chłodniej już odezwała się:

– Nie mówił mi jeszcze Marek, kiedy będę miała szczęście powitać w Liwii krewną...

– Jak tylko Liwia skończy kurs filozofii – odpowiedział Fabiusz – zapalimy pochodnię Hymenu.

– Panienska zajmuje się mądrością Hellady? Czy niezbyt to utrudzająca zabawka dla jej młodej główki?

Fabiusz wzruszył ramionami.

– Filozofia jest dziś rozrywką tak powszechną – mówił – iż żona Marka Kwintyliusza znalazłaby się nieraz w położeniu przykrym, gdyby jej głównych zarysów nie znała. Sprowadziłem z Aten doskonałego nauczyciela, by ułatwić Liwii strawienie tej umiejętności niestrawnej.

Były poborca cel wyrażał się po grecku poprawnie, płynnie, z akcentem attyckim, nie rażąc patrycjuszki ruchami zbyt szorstkimi.

– I któryż systemat przypada najlepiej do gustu mojej narzeczonej? – zapytał Marek.

– Upodobania żony nie powinny się kłócić z gustami męża – odpowiedziała Liwia bez namysłu. – I ja stawiam ponad wszystkich mędrców boskiego Epikura.

– Jest to w istocie jedyny filozof – dodał Fabiusz – dający praktyczne wskazówki życia.

– A Epiktet? – wtrąciła Tullia.

Fabiusz poprzedził odpowiedź lekceważącym ruchem ręki.

– Jakże może niewolnik myśleć dla ludzi wolnych? – wyrzekł. – Piękna Tullia była wczoraj niezawodnie w cyrku? – dodał, zwracając rozmowę na inny przedmiot. – Ten Anicetus dokazuje rzeczywiście cudów. Wziął po raz setny pierwszą nagrodę.

– Powozi jak bóg słońca – odezwała się Tullia.

– Herkules nie mógł być lepiej od niego zbudowany – wtrącił Marek.

– Gdyby boski Marek Aureliusz podzielał większe upodobania rzymskie, obdarzyłby go purpurą – zawołała Liwia.

– Porcja Pulcheria rzuciła mu ogromny bukiet z białych kame-
lii – mówił Fabiusz, uśmiechnąwszy się znacząco.

– Cóż na to konsul, jej małżonek? – zapytała Tullia.

– Konsul Pulcheriusz oklaskuje od dawna wszystkich ulubieńców
swojej pani – wyrzekł Marek.

– Wcale się konsulowej nie dziwię, że przynosi urodziwego
Anicetusa nad brzydkiego i chorowitego męża – odezwała się Liwia.

Tak dziwnie brzmiały te słowa w ustach piętnastoletniej dzie-
wczyny, że Fabiusz rzucił córce spojrzenie napominające, Ale ona
wydęła grube wargi pogardliwie i wyrzekła:

– Minęły czasy, kiedy kobietom wolno było tylko udawać, że nie
nie wiedzą.

Mówili dalej o plotkach miejskich, nicując cały szereg wielkich
dam rzymskich.

Żegnając się z Tullią, wyrzekł Fabiusz.

– Mam nadzieję, że stosunki naszych domów, nawiązane
pod wróżbą tak szczęśliwą, ścieśnią się z czasem i utrwala ku dobru
Fabiów i Kwintylliów.

Markowi, który go odprowadzał do przedsiönka, szepnął:

– Gdybyś znalazł przed obiadem trochę czasu, odszukaj mnie
na polu Marsowym pod portykiem Agryppy. Potrzebuję twojej rady
w sprawie bardzo ważnej.

Kiedy Tullia została sama z Markiem, zapytał pretor:

– I cóż? Jakże ci się Fabiusz podoba?

Tullia wzruszyła ramionami.

– Nie umiem sobie zdać sprawy z tego, co widziałam – odparła. – Po-
zornie nie razi ten wyzwoleniec niczym, rusza się przyzwoicie, mówi
doskonale po grecku, a jednak jest w nim coś, co stoi między nim a nami.

– Są to resztki jego pochodzenia – mówił Marek – ale te resztki
zatrą się w następnym pokoleniu. Fabiusz nie jest zwykłym dorob-
kiewiczem. Zanim mu chciwość Egipcjanina wskazała dzierzawę ceł,
jako kopalnie złota, był w Rzymie adwokatem i obracał się podobno
dużo w domach patrycjuszów.

– Nie spodziewałam się w istocie takiej niespodzianki – zauważyła
Tullia. – Trzeba bardzo dobrze uważać, ażeby dostrzec sztuczność
jego swobody towarzyskiej.

– Złoto podwyższa niskich, a poniża wysokich. Wyrównuje ono szybko różnicę stanów, polegającą jedynie na grubych lub wytworzonych nawykach. Za pieniądze można kupić najlepszych niewolników, którzy nauczą wszystkiego, co w naszym świecie potrzebne. Tylko taki dziwak, jak Publiusz, nie chce tej starej prawdy zrozumieć.

– Są jednak rzeczy, których pieniądze nie dają – wtrąciła Tullia.

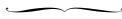
– Poczucie obowiązku obywatelskiego, miłość do Rzymu i tym podobne staroświecczyny... – mówił Marek. – Wiem, co masz na myśli. To bardzo dawne dzieje, o których dziś już tylko w książkach czytamy. Zresztą i pozorów tego, co nasi ojcowie nazywali cnotami, można się nauczyć. I Fabiusz potrafi mówić jak stary Katon, gdy mu to potrzebne.

– Nie podoba mi się przedwczesna dojrzałość Liwii – zauważyła jeszcze Tullia.

– Panny dzisiejsze nie są podobne do naszych prababek. Żona, pozbawiona przesądów, będzie pobłażliwszą dla wesołego pretora. Ale nie widzę u ciebie krosien i kołowroteków – zawołał Marek, rozglądając się po sali. – Publiusz odwiedzi cię niezawodnie w tych dniach.

– Naraziłabym się na uśmiechy niewolników, gdybym zmieniała urządzenie domu. Postaram się odegrać rolę matrony bez tej niesmacznej komedii.

– Może spotkamy się dziś na polu Marsowym. Warto korzystać z pięknego dnia – mówił Marek, żegnając się z Tullią.



Ciepły dzień października wywabił w godzinach poobiednich cały Rzym na pole Marsowe. Kogo praca w sklepie lub w warsztacie nie więziła w dusznej izbie, ten śpieszył do ogrodu miejskiego, zajmującego olbrzymią przestrzeń na lewym wybrzeżu Tybru.

Sto tysięcy stóp kwadratowych przeznaczyli niegdyś ojcowie rzeczypospolitej na użytek publiczny, a cesarowie i patrycjusze przyozdobili to rozległe pole wspianiałymi gmachami, na które każdy obywatel z dumą wskazywał. Tu wznosiły się teatry Pompejusza, Balbusa, Marcella, cyrk Flaminiusza, stadion Domicjana, łaźienki

Agryppy i Minerwy; tu zgromadzono pod licznymi kolumnami w kamiennych halach wszystkie skarby cesarstwa; tu umieściła stolica świata, pod dumną kopułą Panteonu, swoich bogów ulubionych.

Wśród ciemnych alei i gajów wawrzynowych, rozjaśnionych obszernymi murami, świeciły drogi, wysypane żwirem. Zmęczonego zapraszało mnóstwo ławek do spoczynku, znudzonemu obiecywały budy kuglarzy, linoskoków, czarnoksiężników i grajków tanią rozrywkę.

Pod wieczór brzęczało pole Marsowe, jak ul na wiosnę. Na trawnikach hałasowały dzieci, bawiąc się w konie i w żołnierzy; hecarze i linoskoki darli się przed budami, opowiadając cuda o swoich sztukach; bocznymi chodnikami przepływał ciągle tłum pieszych spacerowiczów, gapiąc się na przebiegające środkiem drogi dwukolne faetony, przeplecione lektykami i jeźdźcami.

Ponad tą głuchą wrzawą ożywionego ruchu górowały skargi żebraków i nawoływania przekupniów. Nędzarze podnosili wysoko tabliczki, na których władza wypisała ich nieszczęścia: handlarze podsuwali towary pod sam nos przechodniów, wrzeszcząc przeraźliwie. Ten zalecał owoce, ów ciasta, trzeci drobne błyskotki. Odpędzani, śmiali się wesoło i biegli dalej.

Na skraju lasku wawrzynowego, przylegającego do portyku Agryppy, na ławce kamiennej, siedzieli ci sami Germanowie, którzy wstrzymali byli z rana orszak Fabiusza. Oparłszy głowy na dłoniach, patrzyli na tłum różnobarwny i – milczeli.

Zewsząd otaczał ich szum wielkiego miasta, dolatywały puste śmiechy i stłumione wykrzykniki. Przed oczami ich przesuwał się obraz dostatku, swobody i szczęścia. W złożonych faetonach, w purpurowych lektykach, na rączych rumakach mijali ich panowie świata, których powozili, nieśli, otaczali niewolnicy wszystkich barw i języków.

Tuż przed nimi rysował się na błękitnym, czystym tle nieba wspaniały portyk Agryppy. Sto kolumn z marmuru frygijskiego dźwigało olbrzymi dach sklepiony. Niewolników tam sprzedawano, kość słoniową, wełnę hiszpańską, jedwab chiński, płótno i szkła kolorowe z fabryk aleksandryjskich, greckie wino, egipskie zioła, arabskie wonie, ryby z morza Czarnego, sery z Helwecji, szmaragdy z gór uralskich. Trud i pot wszystkich narodów złożyły się na to, aby się Rzym mógł bawić i używać.

– Nigdzie jej nie spostrzegłeś? – odezwał się prefekt, nie podnosząc głowy.

– Rozglądałem się bardzo uważnie na wszystkich ulicach Pola Marsowego, ale waszej narzeczonej nie było między niewolnicami. Schowali ją dobrze – odpowiedział Herman.

Zamilkli.

– Tego u nas nie ma – wyrzekł znów po jakimś czasie prefekt, zakreślając ręką koło szerokie.

– Ale nie ma także tylu żebraków – mruknął Herman.

– Ich żebracy żyją i mieszkają lepiej od naszych panów.

– Nie zazdroszczę im cuchnących nor w pudłach kamiennych bez słońca i powietrza.

– Wolisz nasze zagrody, rozrzucone wśród lasów?

– W lasach markomańskich mieszkają bogowie.

– I oni mają swoich bogów.

– Ich bogowie spodleli, jak oni. Ich świątynie są puste, a kapłani nie szanują ołtarzy.

– A jednak króluje ich Olimp nad naszą Valhallą. O, bogowie...

Po ustach prefekta przewinął się smutny uśmiech.

Zamilkli powtórnie. Patrzyli znów przed siebie na rozbawiony, wypoczywający Rzym. W oczach ich tliły błyski ponure.

– Wy może nie wiecie, panie – odezwał się po jakimś czasie Herman – że w naszych lasach rozbrzmiewa od kilku tygodni szcęk broni i rozlega się pieśń o Arminiuszu.

Prefekt obejrzał się uważnie wokoło. W pobliżu nie było nikogo.

– Do dawnych kłesk przybędzie nowa – wyrzekł. – Nie nam mierzyć się z ich siłą.

– Siła ich opiera się dziś głównie na waleczności ludów sprzymierzonych. Nie byłoby legionów bez naszych ramion.

– Mówisz, jak gdybyś nie był legionistą. Jako stary żołnierz, powinieneś wiedzieć, że jeden karny oddział rozpędzi całe wojsko niesfornej hałasty.

– Mamy dziś tysiące swoich legionistów. Nie obcą jest nam ich sztuka wojenna.

– Ktoś idzie...

Na ścieżce, wijącej się przez lasek wawrzynowy, ukazał się samotny wędrowiec. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, szedł wolno,

z opuszczoną głową. Kiedy się zbliżył do ławki, zerwali się Germanowie równocześnie. Starszy wyprostował się, nie ruszając się z miejsca, młodszy podbiegi kilka kroków i zawołał:

– Publiusz!

Publiusz Kwintyliusz Warus podniósł głowę. Błysk szczerej radości rozjaśnił jego twarz zachmurzoną.

– Serwiusz! Ty w Rzymie? – wyrzekł, ściskając serdecznie rękę Germanina. – I tu cię spotykam? Dom Kwintyliów wskazałby ci każdy pacholek miejski. Gdzież stanąłeś?

– Zajechałem do obozu pretorianów, ale chciałem cię jutro odszukać – odpowiedział prefekt.

Publiusz, dostrzegłszy Hermana, zbliżył się do niego.

– Wszakże to Herman – wyrzekł, uśmiechając się łaskawie do żołnierza, który stał, jak słup, wpatrzony nieruchomym okiem w trybuna. – Setnik trzeciej kohorty dziesiątego legionu. Pamiętasz szturm w Panonii? Szliśmy obok siebie pod gradem strzał i pocisków. Było nam tam ciepło. Prawda, stary?

Martwy, jakby zastygły, twardy wyraz brodatej twarzy żołnierza topniał pod słowami Publiusza. Powieki jego drgnęły, usta się poruszyły.

– Nie żał żołnierzowi zginąć, gdy go prowadzi taki wódz, jak ty, przestawny trybunie – odezwał się głosem wzruszonym.

– Ty znasz Rzym? Wiesz, gdzie leży Pagórek Ogrodów? – zapytał Publiusz.

– Nie po raz pierwszy podziwiam stolicę świata.

– Udasz się natychmiast do obozu pretorianów i przeprowadzisz swojego pana do mnie. I dla ciebie znajdzie się pod dachem Kwintyliów kąt wygodny.

Pożegnawszy setnika uprzejmym gestem ręki, wziął Publiusz prefekta pod ramię i poszedł z nim w stronę portyku Agryppy.

– O ile wiem, jesteś w Rzymie po raz pierwszy – odezwał się, gdy zostali sami.

– Nie spodziewałem się, że mnie przykry obowiązek nakłoni do drogi, o której od dawna marzyłem – mówił prefekt.

– W sprawach legionu do nas przybyłeś?

– Przybyłem odszukać narzeczoną, porwaną przez jakichś zbirów i sprzedaną w niewolę.

– To być nie może! – zawołał Publiusz. – Któż ośmieliłby się ściągnąć rękę na narzeczoną prefekta legionów?

– A jednak tak się stało. Nocą napadł tłum zbrojnych z poczerzonymi twarzami siedzibę mojego przysłego teścia i okuł wszystkich w żelaza. Ocalał tylko jeden ze służby, który mi tę smutną nowinę przyniósł do obozu. Pytasz, kto by śmiał, jak gdybyś nie znał gospodarki obywateli rzymskich w ziemiach sprzymierzeńców. Poborca daniny zdzierają skórę z Germanów, koloniści szcują jedną wieś na drugą, kupcy oszukują, czego zaś poborca, kolonista i kupiec nie zdołają wycisnąć, to wydrze legat lub prokonsul pograniczny postrachem. Od czasu do czasu bandy zamaskowanych zbójów urządzają wyprawy na żywy towar, chwytając po drodze wszystko, co im w ręce wpadnie. Wolny, czy nie wolny, rzecz obojętna, byle był zdrowy. Dziwię się bardzo, iż Rzym zwraca tak mało uwagi na zuchwalstwo swoich obywateli w krajach wolnych sąsiadów. Germanom może się ta poniewierka nareszcie sprzykrzyć, a ty wiesz równie dobrze, jak ja, że Markomanowie z czasów Antoninów nie są już ową dziką, beładnymi kupami idącą tłuszcą, jak moi przodkowie z epoki Tyberiusza. Połowa naszej szlachty służyła lub służy w legionach na stanowiskach oficerskich, a nasz gmin jest główną podstawą waszych wojsk sprzymierzonych. Mówię tak do ciebie, do Rzymianina, bo i mnie wychowała cywilizacja wielkiej Romy, mojej matki przybranej, i dlatego boli mnie, że najpodlejsi z pomiędzy was burzą, co nasza wspólnie przelana krew zlepiła na polach bitwy.

Publiusz słuchał zaszępiiony, podnosząc od czasu do czasu głowę, jakby chciał przeczyć. Kiedy prefekt skończył, odezwał się:

– Zbyt czarno malujesz stan pogranicza.

– Zbyt czarno – mruknął Germanin, uśmiechnąwszy się z goryczą. – Czy wiesz, jak mnie dziś na ulicy motłoch rzymski powitał? Rzucił mi w twarz psa germańskiego i usunął się dopiero wtedy z warczeniem poskromionego wilka, gdy mu w zazdrosne ślepie oznakami mojej godności błysnął.

– Motłoch jest wszędzie podły i zuchwały, dopóki nie poczuje nad sobą ręki pana – mówił Publiusz. – Nie wątpię, że znajdziesz w Rzymie sprawiedliwość.

– Tak się spodziewam, bo gdyby było inaczej...

Niski głos prefekta brzmiał głucho, jak echo dalekiego grzmotu. Wysoki, barczysty, pochylony ku przodowi, spoglądał ponuro na różnobarwny, błyskotliwy tłum, który go z szumem rozchukanej fali otaczał. Głęboka bruzda powyżej zagiętego nosa, błyski tłumionego gniewu w niebieskich oczach, brwi ściągnięte i zwarte usta nadawały jego twarzy suchej, wygolonej, wyraz nieubłaganej stanowczości i odwagi. Choć odmienny budową, barwą włosów i cery, był w tej chwili podobnym do Publiusza. Obydwaj pochodzili z rodziny orłów, obydwaj mieli profile ptaków drapieżnych, urodzonych do zwyciężania.

– Boski Marek Aureliusz jest sprawiedliwym panem – wyrzekł Rzymianin.

– Boski Marek Aureliusz czyta za wiele książek, a zajmuje się za mało sprawami państwa – odpowiedział Germanin.

– Śmiało to słowa w ustach legionisty.

– I Publiusz wierzy tak samo...

Wtem odezwało się przed nimi wołanie laufrow.

– Ho, ho, z drogi!

Otoczony rojem klientów i niewolników przesunął się Fabiusz, rozłożony na poduszkach lektyki. Dostrzegłszy prefekta, zbladł.

– Po raz drugi spotykam dziś tego łotra – mówił prefekt. – Łzy i krew moich braci lśnią na jego milionach.

Wchodzili właśnie pod portyk Agryppy. Był tu tłok tak wielki, że chcieli się cofnąć, kiedy ich dźwięczny głos niewieści powstrzymał.

– Witaj, Publiusz – zawołał ktoś tuż obok.

Tullia Kornelia stała ze swoją synowicą Mucją przy sklepie barwnych płócien, mając przy sobie tylko dwie niewolnice.

– Od kiedyż to czekają Rzymianki nadaremnie na odwiedziny krewnych, wracających z dalekiej drogi? – mówiła Tullia, kiedy się Publiusz do niej zbliżył.

– Zastałem po trzyletniej niebytności w Rzymie tyle spraw naglących – tłumaczył się Publiusz – iż nie znalazłem dotąd chwili wolnej. Zamierzałem być u ciebie jutro z hołdem. Wszakże to Mucja – dodał, zwracając się do młodszej Kornelii, która wlepiła w niego duże, piwne oczy. – Tak wyrosła i wypiękniała, że nie byłbym jej poznał, gdyby mi twoja obecność nie pomogła. I nie wiem nawet, czy zapaliła już pochodnię Hymenu.

– Hymen nie należy do ulubionych bóstw Mucji – odparła Tullia za synowicę. – Nie ma w cesarstwie nikogo, kto by był jej miłością godnym. Może sprowadzisz dla niej jakiego boga z Olimpu.

– Czekam tylko na Rzymianina – odezwała się Mucja głosem spokojnym.

Uważnie spojrzął na nią Publiusz. Ona wytrzymała przez chwilę jego wzrok badawczy; potem odwróciła głowę i zaczęła coś wybierać na stole sklepu. Lekki rumieniec zabarwił jej bladą twarz.

I spojrzenie Publiusza i rumieniec Mucji nie uszły oka Tullii. Lekko zmarszczyła się jej brew, a usta drgnęły.

– Nie jesteś sam, jak widzę – wyrzekła głosem przyciszonym.

– Mój towarzysz bitew i przyjaciel, prefekt legionów, Serwiusz Klaudyusz Kalpurniusz – przedstawił Publiusz.

Germanin uchylił głowy, przykładając rękę do piersi, a rzymska patrycjuszka uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

– Dom mój stoi otworem dla walecznego prefekta, o którym Rzym mówił już niejednokrotnie z uwielbieniem. Mam nadzieję, że mnie zechcesz razem z trybunem odwiedzić. A teraz zwalniamy was, przesławni wojownicy, nie sądzę bowiem, by wodzów legionu nasze kłopoty gospodarskie mogły zająć. Wybieramy dla niewolnic płótno na tuniki.

Zaledwo się Publiusz z Serwiuszem oddalił, kiedy obok Tullii stanął Marek.

– Zaczynasz swoją rolę? – szepnął, zbliżywszy usta do jej ucha.

– To pomysł Mucji, ja zaś skorzystałam z niego skwapliwie – odpowiedziała Tullia, porozumiewając się z pretorem spojrzeniem szyderczym. – I udało mi się bardzo dobrze, bo właśnie pożegnałam Publiusza. Przechodził z jakimś barbarzyńcą. Szczególnie upodobania ma trybun.

– Ten drab z barkami i piersią gladiatora, gdyby tylko zechciał, zburzył by u nas spokój niejednej rodziny. Widziałem go. Jakie włosy, jaka budowa! Ale ci barbarzyńcy mają podobno o cnotcie pojęcia naszych prapradziadów z epoki drewnianej Romy. Gdyby mnie bogowie byli dali jego muskuły...

– I bez nich radzisz sobie doskonale...

– Ale długo to potrwa? Już dziś odczuwam dotkliwie skutki nocy przeहुlanej.

Marek rozglądał się wokoło.

– Czy nie widziałaś Fabiusza? – zapytał.

– Minął nas właśnie.

Marek uśmiechnął się do Tullii życzliwie i znikł w tłumie. Torując sobie drogę łokciami, szukał przyszłego teścia. Znalazł go przy sklepie drogich kamieni.

– Teściulek robi bardzo dobrze, że pamięta wcześniej o wyprawie – wyrzekł, dotykając ramienia Fabiusza. – Zapytam jutro pięknej Liwii, czy ją gust ojca zadowolili.

– Liwia nie pragnie błyskotek – odpowiedział Fabiusz, chowając naszyjnik za tunikę. – Ma ich dosyć.

– Rozumiem. Wiesz, teściu, że mógłbyś sobie wybrać inną heterę. Ta twoja Lykaris zwiędła w ostatnim roku straszliwie.

– Prosiłem cię, żebyś mnie zapoznał z Lidią.

– Po zaślubinach... Ale miałeś do mnie jakąś ważną sprawę... Czy ci jaki wierzyciel drapnął z długiem?

Opuścili kolumnadę i weszli do gaju wawrzynowego. Upatrzawszy miejsce samotne, Fabiusz usiadł na ławce. Zanim zaczął, pocierał ręką czoło, ruszając się niespokojnie.

– Ty wiesz – odezwał się głosem niepewnym – że miałem kiedyś w wolnej Germanii rozległe stosunki handlowe.

– Mówią, że ciągniesz dotąd znaczne zyski z różnych przedsiębiorstw, które między ludźmi naszego towarzystwa uchodzą za hańbiące – mruknął Marek, spoglądając z lekceważeniem na przyszłego teścia. – Powinieneś o tym pamiętać, że twoja córka wychodzi za Kwintyliusza.

Szybko podniósł Fabiusz głowę i rzuciwszy Markowi spojrzenie złośliwe, wyrzekł:

– Kwintyliusz nie zauważyłby nawet Liwii, gdyby jej ojciec nie był z owych przedsiębiorstw hańbiących wycisnął milionów.

Marek milczał, przygryzając wargi.

– Znam senatorów, którzy uprawiają po kryjomu lichwę – mówił Fabiusz – znam patrycjuszów, trudniących się handlem za pośrednictwem swoich klientów i niewolników. Nie moja wina, że Rzym cesarów pada w proch przed złotem. Ale nie obawiaj się... Z chwilą, gdy zostaniesz moim zięciem, nie będę uprawiał owych rzemiosł,

wstrętnych towarzystwu, do którego wejść za twoją przyczyną. Mam dosyć pieniędzy, ziemi, domów i służby.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, odsłaniając dwa rzędy białych, zdrowych, ostrych zębów. Jego krótkie palce u dużych, niekształtnych rąk zagięły się, jak pazury. W małych oczach migotały żółte błyski.

– Tymczasem... – wyrzekł po krótkim milczeniu.

– Tymczasem... – podchwycił Marek.

Fabiusz pocierał znów czoło dłonią.

– Temu kilka miesięcy – mówił zakłopotany – kupiłem na targu jakąś niewolnicę, nie wiedząc, że była córką wolnego pana lasów markomańskich.

– Kupiłeś? – zapytał Marek, wpatrując się w Fabiusza przenikliwie.

– Dostawili ją moi dawni klienci – odpowiedział Fabiusz wymijająco. – Ta niewolnica jest podobno narzeczoną prefekta Serwiusza...

– Prefekta jazdy legionów?! – zawołał Marek.

– Tego samego.

– A toś się urządził... Czy wiesz, że to pachnie zesłaniem do kopalni sardyńskich?

– Wiem, ale mam nadzieję, że mnie moje pieniądze i twoje stosunki wydobędą z tej niemilej przygody.

Marek zamyślił się.

– Przede wszystkim trzeba ową Germankę natychmiast usunąć i schować tak dobrze, żeby jej oko ludzkie nie oglądało – odezwał się.

– Stanie się to jeszcze dziś – mruknął Fabiusz.

– Następnie trzeba sypanąć pieniędzmi, aby władze nie zarządziły starannych poszukiwań. Prefekt poruszy wszystkie swoje stosunki.

– Rozporządzaj moją szkatułą.

– Ta niewolnica będzie cię dużo kosztowała.

– Nie mogę być w tym wypadku oszczędnym.

Ociężale podniósł się Fabiusz z ławki.

– Nie wątpię, że zrobisz wszystko, co będzie w twojej mocy – wyrzekł – aby cios niespodziewany odwrócić od ojca Liwii. Tyle nieprzyjemności dla podłej Germanki! Zawdzięczamy to filozoficznym rządóm Antoninów...

Odszedł w stronę portyku, gdzie czekali na niego klienci i niewolnicy.

Już znikł za filarami, a Marek nie ruszał się z miejsca. Jego twarz, zwykle pogodną, uśmiechniętą, spowiły cienie głębokiej zadumy.

Wesoły pretor, lekceważący wszystko, co nie dało się przetopić na środki do używania, nie umiał sobie zdać sprawy z uczucia, jakie go ogarnęło. Gdyby mu ktoś był powiedział, że na dnie jego duszy odezwał się zastygły głos Kwintyliów, byłby parsknął śmiechem. A jednak był w tej chwili patrycjuszem rzymskim, potomkiem rycerzy i obywateli, którzy poświęcali życie i mienie dla sprawy publicznej. W jego krwi tkwił wstręt, zaszczepiony przez wieki do handlu, przemysłu, do cła i lichwy – do wszystkich zajęć, mających na celu jedynie gromadzenie pieniędzy.

Wyznanie Fabiusza upokorzyło go. On, Kwintyliusz, miał poślubić córkę tego łotra, który chwycił i sprzedawał na targu narzeczone słynnych, dla Rzymu zasłużonych wojowników – miał się stać powolnym narzędziem nikczemności tego drapieżnego handlarza.

Obejrzał się wokoło, jakby szukał ocalenia.

Nie było go... Żyć, jak jego przodkowie, nie chciał, nie umiał.

– Muszę bronić tego chytrego zbója – mruknął. – Nie moja wina, iż nie urodziłem się przed trzystu laty.

Zawinął się w togę i udał się do łaźni Minerwy.

CZYTAJ DALEJ:

TOM 1
>>KLIK<<

PROMOCYJNA CENA
PAKIET TOM 1-2
>>KLIK<<

TOM 2
>>KLIK<<

ZADZWOŃ I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ:

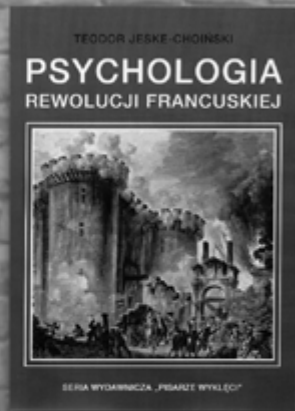
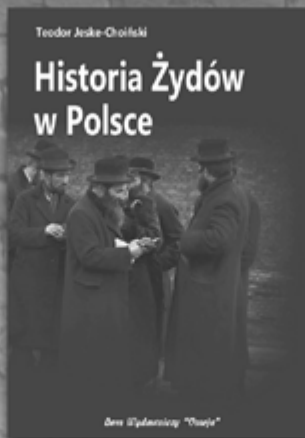
(+48) 729 977 856

LUB WEJDŹ NA:

WWW.SKLEP.MAGNAPOLONIA.ORG


MAGNA
POLONIA

KSIEGARNIA • WYDAWNICTWO • PORTAL INTERNETOWY



ZAMÓW NA WWW.SKLEP.MAGNAPOLONIA.ORG
LUB POD NUMEREM TEL: (+48) 729 977 856

TOM 1

Słońce Rzymu powoli gaśnie, czarne chmury zawisły nad imperium, dzuma kładzie legiony powracające z wyprawy na Partów, a w pasach przygranicznych znów słychać pieśń wojenną.

Teodor Jeske-Choiński po mistrzowsku kreśli obraz starożytnego Rzymu za panowania cesarza Marka Aureliusza i Lucjusza Werusa. Rzymu, którego świetność widoczna jest już tylko w architekturze pustych świątyń, w monumentalności pomników i w opowieściach o czynach przodków.

W tych niespokojnych czasach, targanych namiętnościami dorobkiewiczów i hedonizmem patrycjuszy, buntami barbarzyńców, plagami głodu i dżumy, przyszło żyć Publiuszowi Kwintyliuszowi Warusowi, patrycjuszowi "Drewnianego Rzymu", dla którego jedyną powinnością jest służba ojczyźnie. Przyszło również żyć Mucji Kornelii, która, tak jak Publiusz, z nie przystaje do swych czasów... Bohaterowie ci, nie zdają sobie sprawy, na jak wielką próbę zostanie wystawiona rodząca się między nimi miłość.

Jeske-Choiński wprowadzi nas w świat intryg, skandali, upadku moralności, świat, w którym nie ma już właściwie świętości, a sztydzić można ze wszystkiego. Świat, w którym tlą się jeszcze ostatki obowiązku obywatelskiego i dawnych cnót. Świat, pod którego powierzchnią wzrasta potężna podziemna społeczność chrześcijan, którzy potrafią pociągnąć swym idealizmem najbardziej zatwardziałe dusze.

Powieść, którą trzymacie Państwo w rękach przetłumaczona została na języki: niemiecki, szwedzki, włoski, węgierski, czeski i rosyjski, a w Polsce doczekała się wielu wznowień. Warto abyśmy pomogli przywrócić należną pamięć wybitnemu pisarzowi, którym był Teodor Jeske-Choiński, a którego prace były zakazane w okresie PRL i masowo niszczone, czego efektem było skazanie na wyrok zapomnienia tego wspaniałego autora.

Część zysku przeznaczana jest na tworzenie
i utrzymanie strony internetowej

WWW.JESKECHOINSKI.PL

